

ZIDRÓJ

KULTURA * ŻYCIE * SZTUKA



ROK I

LUBLIN, 15 LUTEGO 1947 R.

Nr 2 (27)

JAN STANISŁAW ŁOŚ

STAROŻYTNOŚĆ W KULTURZE OBYWATELSKIEJ POLSKI PRZEDROZBIOROWEJ

Dzieje Rzymu skończyły się na długie stulecia zanim plemiona słowiańskie osiadły między Odrą a Wisłą obudziły się do historycznego życia. Naród polski nigdy nie zetknął się z żadnym z narodów które kulturę klasyczną stworzyły, nie sąsiadował też bezpośrednio z żadnym narodem, który by mógł być uważany za spadkobiercę kultury antycznej. Za spadkobierców tej kultury nie można bowiem uważać ani Niemców ani Madziarów, choć ziemie ich przelotnie w całości lub w części wchodziły w skład Imperium Romanum. I jedni i drudzy musieli po kulturę łacińską jeździć na zachód i południe, podobnie jak musieli tam jeździć Polacy, którzy pragnęli z czerpnąć z krynicy stroytnej myśli. Kultura antyczna poczęła wywierać swój wpływ na umysłowość polską późno, nie wcześniej jak w wieku XV m. t.j. o blisko sto pięćdziesiąt lat od chwili gdy rozjaśniły się za Alpami pierwsze zorze renesansu. Zetknąwszy się natomiast z prądami renesansu, dotarli przodkowie nasi bezpośrednio do jego kolebki i źródeł, do Italii, nie poszli do szkoły buzszych swych sąsiadów — Niemców, u których prądy odrodzenia bynajmniej nie są wcześniejsze niż w Polsce.

PODATNY GRUNT

Przyniesiony z włoskiej ziemi posiew nie trafił w Polsce na ziemię nieprzygotowaną na jego przyjęcie. Od chwili przyjęcia chrześcijaństwa bowiem była Polska terenem pracy romańskich duchownych tak akonanych jak i świeckich; znajomość języka łacińskiego — w jego średniowiecznej co prawda postaci rozpowszechniała się powoli, ale stała przez czterysta lat, podłożę było przeorane i już w drugiej połowie XV wieku wydało bujny plon w postaci humanistycznej literatury, która wydobytując się z zamknięcia klasztornych murów przybierała świecką postać. Z łacińską formą, którą bez trudu przyjmowały plastyczne słowiańskie umysły, łączyła się teraz łacińska treść taka, jaka zdołała przepłynąć przez filtry słowiańskich mózgow, przetworzona na modłę własnych sarmackich potrzeb. Można obrazowo powiedzieć, że kultura antyczna w Polsce przemawiała wprawdzie — i to płynnie — językiem Cicerona; przyodziewała się jednak raczej w kontusz niż w togę. Gest rozmach i temperament pozostawały oryginalne, własne. By się o tem przekonać wystarczy wziąć do ręki którekolwiek z dzieł Orzechowskiego. Silniej jeszcze niż w dziedzinie literatury przejawiała się ta sarmacko-klasyczna symbioza w dziedzinie pojęć politycznych i społecznych, w koncepcjach ustrojowych, w całej kulturze politycznej przedrozbiorowej Rzeczypospolitej.

I w tej dziedzinie — przypomnieć to należy — posiew antycznych koncepcji — nie padał w Polsce na glebę obcą. Szczep słowiański to tylko jedna z licznych gałęzi wspólnego aryjskiego pnia, którego odroślami były także ludy łacińskie i helleńskie. Ludy te wcześniej się rozrosły, zakwitły i minęły, wcześniej przeszły przez poszczególne stadia rozwoju, przez doświadczenia, jakie historyczne bytowanie ze sobą przynosi.

wcześniej też i bardziej samodzielnie przemyślały zagadnienia społecznego życia, przekazując zapóźnionym krewnikom osiągnięte wyniki w formie gotowej i łatwo przyswajalnej.

STOP KONCEPCJI

Spółceństwo polskie XV i XVI wieku otrzymywało zatem z rąk starożytnych, przyodziają w antyczne kształty i wystawioną klasycznym językiem, treść, do której byłoby prawdopodobnie doszło z biegiem czasu samo, tylko z większym trudem i powoli. Kultura polityczna Polski przedrozbiorowej — o ile chodzi o trzy ostatnie stulecia Rzeczypospolitej — przedstawia się jako stop koncepcji rodzimych, słowiańskich, prymitywniejszych, bliższych wspólnemu praaryjskiemu źródłu z koncepcjami klasycznymi, przedstawiającymi stadium późniejsze tegoż samego rozwoju. Coś bardzo podobnego możemy powiedzieć i o polskiej historycznej architekturze. Przypatrzmy się któremukolwiek ze starszych kościołów, w którymkolwiek z miast polskich. Niemal wszystkie przedstawiać się będą jako barokowa nadbudowa na gotyckim podłożu, przy czym to zdawałoby się dziwne zespolenie stylów, daje w wyniku całość jednolitą i harmonijną, tak, że potrzeba dłuższego przyjrzenia się i przemyślenia, by spostrzec, że jednolita pozornie bryła jest stopem bardzo między sobą się różniących szczegółów.

JAN OSTRORÓG

Pierwszym wyobrazicielem i apostołem tego sarmackiego antyku jest u nas w połowie XV wieku ojciec polskich pisarzy politycznych Jan Ostroróg; umysłowość tkwiąca korzeniami jeszcze w średniowieczu, ale już przesiąknięta duchem prawa rzymskiego, pojętego na sposób sarmacki; człowiek nauką zachodni, ale temperamentem Słowianin, Europejczyk o szerokich horyzontach, ale równocześnie zaściankowy; wielki pan i uczony, arystokrata nie bez cienia snobizmu, ale zarazem utalentowany demagog, doskonale władający piórem, umięjący z równą swadą przemówić do papieża humanisty, jak i do braci szlachty na sejmiku; umięjący w styl godny Cicerona przyodziać poglądy z polskiego partykularza; zdobywający się już w połowie XV wieku na gest doskonałe barokowy, a zarazem tak nowożytny, że, gdyby mógł wstać z grobu i za dni naszych do chłopów — gospodarzy na wiecu przemówić, pociągnąłby ich z pewnością swym naiwnym antyklarikalizmem, i bez trudu przekonał, że księża nadmierne korzyści ze swych owieczek wyciągają, że posługi kościelne powinny być bezpłatne, a utrzymanie proboszczów winno obciążać wyłącznie biskupa. Ale nie Ostroróg — Sarmata nas dzisiaj interesuje, choć jego polskość godna byłaby szczególnego opracowania; musimy powrócić do Ostroroga doktora praw obejmą, nie tylko dekretów, lecz przede wszystkim rzymskiego, w jego justyniańskim wydaniu, uzupełnionym wszystkimi glossami włoskich komentatorów, po których naukę jeździł nasz rodak aż poza Alpy. Musimy powrócić do Ostroroga humanisty, który tak bardzo

pokochoł klasyczne Muzy, że dzieci, które mu na stare lata druga małżonka poświęcała ponazywał pogańskimi imionami Achillesa i Polyxeny, coby świadczyło, że nie był mu obcym Homer, a może nawet Eurypides. Musimy powrócić do Ostroroga statysty. Poglądom swym dał wyraz jako młodzieniec dwudziestoparoletni, zapewne w roku 1456 w swym „Monumentum pro rei publicae ordinatione“. Do tego dziełka musimy się ograniczyć, bo zdaje się, że jak wielu świetnie się zapowiadających polskich młodzieńców — na tej jednej pracy poprzestał; nie słyszymy przynajmniej nic by coś później pisywał a jego rola polityczna, choć wysokie krzesła senatorskie zasiadał, też nie była pierwszoplanowa i nie doczekała się opracowania przez dziejopisarzy.

DZIESIĘĆ PRZYKAZAŃ

Poglądy Ostroroga, na których nauka prawa rzymskiego i ideologia zachodnich legistów wyraźnie swój wpływ wycisnęły dadzą się przy życiu własnych jego słów sformułować, jakgdyby w dziesięć przykazań:

- 1) Niezwyciężonego Króla naszego i pana postanowień nikomu nie godzi się naganiać;
- 2) Król polski niczyjej zwierzchności oprócz samego Boga nad sobą nie uznaje;
- 3) Wszelkie prawa cesarskie służą Królowi;
- 4) Lepiej jest gdy Król mianuje biskupów;
- 5) Głupotą jest hańbą i sromotą szukać sprawiedliwości poza granicami królestwa;
- 6) Rozmałość praw w jednym państwie nie zgadza się z rozumem; niech będzie jedno prawo wszystkich obowiązujące tak szlachtę jak i plebejuszów;
- 7) Nie mogą być wynalezione lepsze prawa nad te, które postanowili senat i sławni cesarze rzymscy;
- 8) Na żadną godność syn po ojcu nie ma prawa następować, chyba że dostojęstwa godzic i będzie mu ono nadane;
- 9) Niechaj w całym państwie będzie jedno prawo, jedna waga i jedna miara;
- 10) Drogi i rzeki powinny być każdemu otwarte i niczym nie tamowane.

A więc zupełna suwerenność państwa nawet w stosunku do papieża, a więc princeps legibus solutus a w żadnym razie nie podlegający żadnej naganie, a więc recepcja doktryn francuskich legistów głoszących od czasów Filipa Pięknego, że Król jest cesarzem w swoim królestwie, a więc zwierzchność królewska i nad hierarchią duchowną a więc jednolite ius civile i to ius Romanum, która jest ratio scripta, spisany rozumem, a więc zerwanie z miłą ustrojowi feodalnemu zasadą dziedziczności urzędów, zasada, która się zresztą nigdy w Polsce nie przyjęła a więc jednolitość miar i wag i swoboda cyrkulacji na drogach lądowych i wodnych. Mamy przed sobą sformułowaną w pełni doktrynę świeckiego, suwerennego scentralizowanego państwa, doktrynę sprzeczną ze średniowieczną teorią o dwu

władzach: duchownej i świeckiej, o kontrakcie wiążącym króla z narodem, z nauką głoszącą, że każda ziemia i każdy stan winien się rządzić własnymi prawami i spełniać sobie tylko właściwe obowiązki.

LICZNY POZET

Zatrzymaliśmy się nieco przydługo przy ciekawej postaci Ostroroga, gdyż był on pierwszym w tym nieprzeliczoną szeregu sarmackich statystów, którzy idąc w jego ślady, bądź to przejęli się antycznymi koncepcjami ustrojowymi, bądź też przystrajali w klasyczne szaty rodzimą polską rzeczywistość lub tylko marzenia. Poczec ten jest tak liczny, że nie sposób wymienić wszystkich pisarzy, którzy — jak np. niesforny proboszcz z Żurawicy pod Przemysłem, Stanisław Orzechowski, — przeczytawszy „Politeję“ Arystotelesa, znajdowali w skromności swojej usprawiedliwienie, by i ze swej strony obdarzyć miłą ojczyznę „Politeją Królestwa Polskiego“. Nazwiska takie, jak Frycz-Modrzewski, obaj Warszewiccy, Goślicki, Hetman Zółkiewski i wielu innych (pomiędzy innymi stojącego na uboczu Skargę) są powszechnie ogółowi polskiemu znane, jeszcze Stanisław Komarski szukać będzie w pismach Cicerona łacińskich argumentów dla uzasadnienia swych tez ustrojowych. Cała literatura polityczna Polski aż po czasy Stanisława Augusta żyła antykiem.

Nie o literackie wpływy jednak chodzi nam dzisiaj, nam chodzi o ten zespół starożytnych koncepcji ustrojowych, które stały się dobrem powszechnym, które tak wrosły w obyczaj i atmosferę sarmacką, że zatraciła się pamięć ich źródeł. Stało się z nimi to, co w dzień pochmurny dzieje się ze światłem słonecznym, słońce jest wciąż źródłem jasności, ale — że jest niewidoczne oku — mówi się powszechnie, że „Dziś nie ma słońca; a jest jasno, bo jest dzień“.

W STO LAT PÓŹNIEJ

W połowie XVI wieku ustrojowe koncepcje polskie są zgoła odmienne niż sto lat wcześniej, gdy Ostroróg obdzierał zjeżdżających na Sejm panów rady swoimi projektami reform i torował drogę nowym poglądom. O zupełnej suwerenności Królestwa Polskiego w stosunku do wszelkich potęg świeckich nikt już od dawna nie wątpi; gdzież zresztą jest w Europie mocarz, któryby śmiało się uważać za zwierzchnika Polski Zygmunto-wskiej? Jeżeli chodzi o stosunek do papieża, to w rzeczach wiary król polski pozostał wprawdzie wiernym synem Kościoła, ale jeżeli chodzi o polską hierarchię kościelną, to jest jej niezaprzeczanym i nieograniczonym zwierzchnikiem; nominacje biskupów są w jego ręku. Tak jest odnośnie do kościoła rzymskiego. Episkopat prawosławny zaś głośno wyznaje naukę, że król polski w pojęciu Cerkwi jest dziedziecem cesarzy bizantyjskich; a nie zapominajmy, że dwie trzecie ziem Polski Jagiellońskiej to ziemie o załadniemiu prawosławnym.

(Ciąg dalszy na str. 3-ej).

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

Szczyty poezji rosyjskiej

II.

W pierwszej części naszej pogawędki wyróżniłmy w panoramie wysokogórskiej — poezji rosyjskiej trzy szczyty: Lermontowa, Fieta i Tiutczewa. Spójrzmy teraz na bliższy nam, jeśli o odległość czasową chodzi, łańcuch wierchów:

„O, Chryste! Smutek pół mych pije
Uśmierca zwolna krzyża słup.
I lódź twa, lódź twa czy przybije
do mych krwawiących w górze stóp?”

modli się w „Miłości jesiennej” najgłębszej z symbolista rosyjski Aleksander Blok. Najczystszy to liryk, opiewający najpierw „Przecudną Damę” — romantyczny ideał miłość poety, w „Carmen” — oddający upały namiętności zmysłowej, by w „Jambach” i „Ojczyźnie” przejść do zagadnień społecznych, a w słynnych poematach: „Dwunastu” i „Scytowie” dać niedościgniony, swoistym mesjanizm przez aknety, wyraz rewolucji rosyjskiej. Sugestywna moc b je że spizowanych strof ostatniego poematu, będącego jakby próbą przeciwstawienia Rosji Zachodniej apelem do zgodnej współpracy. Na tle dzisiejszej wojny rosyjsko-niemieckiej niektóre zwrotki brzmią wprost proroczo:

„Millony was. Nas — niezliczony rój
Spróbujcież tylko walczyć z nami!
My — Scytów ród. Ospalił stepów znój
Nam twarz z skrzącymi się oczami
Stulecia długie s'ary m'ot wasz kuł
I głuszył grzmiący huk lawiny:
I tylko baśnią w waszych snach się snuł
Lizbony upiór i Messynj.
Przez setki lat patrzyliście na wschód
Niesyci z skarbów nas wywłaszczyć
I sztyżąc wciąż czekalście, gdy głód
Wasz zespokoja armat paszcze.
Lecz bliska chwila. Rośnie nędza lat
I każdy dzień wciąż krzywdy mnoży.
Nadajdzie czas, gdy zniknie nawet ślad
Po waszych rojnych miastach może.
Więc chodźcie do nas! Od wojennych burz
W pokoju idźcie świętą ciszę!
Dopóki jeszcze czas, do pochwy nóż!
Będziemy braćmi, towarzysze!

Lecz może nie dojdzie do tej ostatecznej rozprawy. Poeta wzywa do opamiętania się, do zgody:

Ostatni raz — o stary świecie, już
Na bratnią ucztę pracy, zgody,
Ostatni raz na ucztę bratnich dusz
Brzmi alarm barbarzyńskiej ody.

Blok w swych nastrojach przerzuca się od nastroju do nastroju, umie zarówno oddać melancholię jesieni, jak i surowe piękno śnieżnej zimy rosyjskiej, żar południowej miłości i romantyczne zachwyty dla kobiety, mistyczne ukochanie z emi ojczystej i wiarę w jej postąpienie. Mało który poeta posiada równą Blokowi zdolność poruszenia duszy za pomocą odpowiednich symbolów i otworzenia przed nią zawrotnych horyzontów na tamtą stronę. Ta umiejętność owiana czystym technieniem zaświatów, każe go umieścić obok największych poetów nie tylko rosyjskich, ale w ogóle europejskich. O iąga to nieraz za pomocą najprostszych środków ekspresji, jak chociażby w wierszu „Samotny siedzisz w swym pokoju”, niesamowitym poetyckim bilansie życia:

„Samotny siedzisz w swym pokoju.
Czy słyszysz?
Wiem, że nie zaznasz już spokoju...
Ledwo oddychasz w ciszy...
Czemu za drzwiami światło zgasło?
I cóż cię trwoży?
Przychodzę na znajome hasło,
Stukam — otworzyć!
Wiem, że gorączka twarz ci parzy,
O, druhu buntowniczy!
Ja wszystko jedno drzwi wyważę
I skargi twe policę.
Nie lękaj się wspominać o mnie:
Byłeś tak młody...
Tyś na białego wskoczył konia,
W twarz ci jesienne były chłody.
Tyś pocałował gołoledzią
W zachodu bursztyn lity!
O, lekkomyślny, zaliś wiedział,
Jak wrócisz tu rozbity?
Dzisiaj zmadrałeś. Bądźże szerszy
— Cóż ci po sporz?
A czy pamiętasz miłość pierwszą
i zorze, zorze, zorze?...
Czemu policzki w łzach ci mokną

i spuszczasz twarz tak nisko?
Pociesz się — wicher tam za oknem
to trąby śmierci bliskiej.
Odpowiedz jeszcze na pytanie:
Czyś z życia dumny?
Królewski zaraz dar dostaniesz:
Całun do trumny.

Jeśli Lermontowa porównać można do granitowej „skały”, „roniącej lzy samotnie”. Fieta do niebosężnego szczytu „na krawędzi świata”, którego zadaniem ludz „ciągnąć wzwyż”, Tiutczewa do odosobnionego wierchu zawisłego nad mroczną otchłaną nocy, a Blok do mistycznej Gołgoty lodowej z rozpiętym na krzyżu mesjanistą, co czeka przybca Chrystusowej łodzi — to Siergiej Jesienin jest kopą porośłą zieloną trawą i wzorzystym kwiecem, na której ten franciszkański chuligan wypasa woje trzody. Cechuje go ukochane życie, zwierzęce wprost upajanie się rozkoszą istnienia:

„I na ziemi tej, na ziemi twardej
tym, że żyłem, byłem ja szczęśliwy.
Żem całował usta co najłodsze,
deptał kwiaty, w trawie tak się tarzał
i żem zwi rzał nby braci młodszych
nigdy, nigdy bić się nie odważa.”

Głęboki sentyment dla tych „braci młodszych” pozwala poecie wczuć się w ostatnie chwile kochającego od kuli Lisa, w rozpacz suk, której potopiono szczenięta, w cierpienia krowy, prowadzonej na rzeź. Umłowanie ws ojczystej i nieskomplikowanego życia chłopskiego prowadzi do takiej apologii ubóstwa i prostoty:

„Szczęśliw, kto w życiu nie unika
Kija włóczęgi, sakwy lichej,
Szczęśliw radością swą ubogą,
Kto bez przyjaciół i bez wrogów
Przejdzie przez wiejską pełną drogę
do kopie modląc się i stogów.”

Wzruszające jest w słynnej „Spowiedzi chuligana” wspomnienie poety o rodzicach — chłopach — jego wyznaczenie o miłości ziemi rodzinnej:

O biedni, biedni wieśniacy!
Dobrze posiwił teraz pewnie włos ich,
tak samo drżą przed Bogiem i przed
śmierci metą!

O, gdybyście to pojeł,
że syn wasz w Rosji
jest największym poetą!
Czyż to szron smutku wam serca
nie chłodził,

gdy bosa nogi po kałużach moczył?
A teraz on w cylindrze chodzi,
lakery do nóg przytroczył.
Ale mieszka w nim dawnej prz kory
ostatek,
zaczepność wiejskiego ladaco.
Każdej krowie czerwonej z szylków
młjskich jatek

z daleka klania się z gracją.
A kiedy ścisła dorożkarzom łapy
o woni gnoju z pół swych marząc smutnie,
gotów ni sć uroczyście ogon każdej szkapy,
niby tren jakiejś ubnej sukni.
Ja Kocham ojczyznę.
Je bardzo Kocham ojczyznę!
Choć tyle smutku w wierszach j j się
mieści.

Lubię świń w błocie unurzane pyski
i w ciszy nocnej żabi chór mnie pieści.

Ale miłości życia we wszelkich jego przejawach, jak echo dalekie, nieraz w tych samych życiu radych wierszach, towarzyszy jak wtórniem lknący, metafizyczna tęsknota do śmierci. „Tylko gościem jestem, zemio, krótkim gościem twoich pól”. „Ja przyszedłem na tę ziemię, by czym prędzej ją porzucić”. A umłowane życie i śmierci, to przede wszystkim ukochanie „szóstą częścią świata, o króciutkim mianem: Rus’”. „Chuligan” — oto miano, którym się lubił Jesienin określać. Wkładał w nie swój nepohamowany pęd do życia, całą radość stniemia, energię i bujność sił żywotnych, rwących się do wyładowania. Miłość do kobety znalazła w większe odbicie w ostatnich latach jego życia. Ale dała mu wężę goryczy i rozczarowania. nż zadowolenia i radości: „Nie wiedziałem, że miłość — zaraza. Nie wiedziałem że miłość to — dzuma. Przymrużyła swe oczy, odrazu — pozabawiła szaleńca rozumu”. I miłość właśnie i trudność przystosowania się do nowych warunków życiowych, do których poeta czuł sympatię, stwierdzaiać jednocześnie, że „w przeszłość pozostawił jedną nogą” — oraz staranie alkoholem i kokainą nerw doprowadziły go do tragicznego końca.

Jakiemuż szczytów przyrównać największego piewce Rosji Radzieckiej Władimira Majakowskiego? A może, gdy się o nim mów, złożyć należy to porównanie do lamusa tych romantycznych rekwizytów, przeciw

którym tak domstował poeta? Niechże będzie więc to olbrzymia wieża stacji radowej, czołem sięgającej chmur, gigantyczny megafon rewolucji, obwieszczaający swoje poetyckie: „Ws em, ws em, ws em”.

Majakowski rozpoczyna swoją działalność poetycką jeszcze przed pierwszą wojną światową utworami, które odurzały już swoją nowością przez śmiałość środków ekspresji, obczonnych słowne na epatowanie mieszczaństwa. Nowator to formy, ale jeszcze nie trybun ludowy. Dowero w poemacie „Obłok w spodniach”, obok wylewów egolubnej miłości wystąpi zuchwałe wyznaczenie rzucone światu pieniądza i wosku. Później powstanie poemat nacjonalistyczny „Pokój i wojna”, w którym autor przeciwstawia się okropnościom militarizmu i patriotycznej frazeologii poetów:

„Cóż przyjdzie
tym, co wrócili,
ze współczucia okrzyków?
Cóż przyjdzie
z łzawych poetyckich
nień?
Myślą ty'ko o tym,
jakby na parze patyków
Przekuśtykać
jak niebądź
dzień!”

Z wybuchem rewolucji październikowej Majakowski staje się bojowym piewca nowej rzeczywistości rosyjskiej. Powstaje futurystyczna marsylianka rewolucji: „Nasz marsz”.

B'jele o placy buntu stopa!
W'jele, twardech taranie słów!
My rozłwem drugiego potopu
Przemyjemy te ziemie znów.
Zw'ódł lat smęt,
Wleczę się wóz dni.
Nasz bóg — pęd.
Serce jak beb n grzmi.
O naszym z'ocie nikt z was nie śni.
Kule to dla nas brzęczenia os.
Naszym oręż m — nasze pieśni.
Naszym z'otem — dzwoniący głos.
Ziel n' ściele nam maj.
Mość naszym dniom dno!
Tęczo, obręcz swa daj
Konfom co bzmiar tna!
Patrzcie: t sknie gwiazd ról spogląda
Bez nich nieśni wiemy wian.
Hej, Niedźwiedzie Wielka, żada,
by nas żywcem wzięło do twych bram.
Radość śpiewaj! Pij!
W żyłach włos nny sok.
Serce, do boju grzmij!
Pierś nasza — litawor grzmot!

Powstają poetyckie dekrety, wzywające wszystkich artystów do zerwania z tradycją. „Głędzą ciągle nam sterców brzydki. Leją wciąż swych gładzars'w tusz. Towarzysze na barykad! Na barykady serc i dusz! — Na ulce dobosze, poeci — w przyszłość ogromny skok!” Majakowski tworzy szereg obrazków satyrycznych, biczujących narowy mieszczańskie pokutujące i w nowej biurokracji. liczne poematy, epopeję „150 milionów” i utwór sceniczny „Mi terium — bufon”. W związku z podróżą do Ameryki ukazuje się cały szereg nowych wierszy w sposób cięty, pełen gryzającej ironii, przedstawiający kapitalistyczne USA.

Ciekawy jest język Majakowskiego. Pełen skrótów, zniekształcających często uznana składnie, nieoczekiwanych „o załamajacych porównań i przenośni, wzbogacony szeregiem wrażeń ludowych, jest doskonałym wyrazem tej zwierzecej prości siły, jaka cechuje „herolda prawd, które jutro wszystkich połączą”.

Bo z wierszy Majakowskiego bije przede wszystkim siła, brutalna siła zdrowego fizycznie człowieka, z nieugięta wola, konsekwentnie przeprowadzającego swe plany.

Od Lermontowa do Majakowskiego — rozpiętość stulecia. Na przestrzeni tego wieku wystrzeliły z głębi rosyjskiej i „mnie niebotyki”. O wyborze tych właśnie — zdecydowały może głównie upodobania autora.

Kazimierz Andrzej Jaworski



Z. Krasinski „Irydion” scena w Katakumbach w wykonaniu uczniów Szkoły Dramatycznej w Lublinie Irydion (Jan Perz), Kornelia (Teresa Fialkowska) —

(Patrz strona 8-1a)

STAROŻYTNOŚĆ W KULTURZE OBYWATELSKIEJ POLSKI PRZEDROZBIOROWEJ

(Dokształcenie ze str. 1-ej).

PRAWO CYWILNE

W dziedzinie prawa cywilnego nie dokonano się wprawdzie w Polsce — w przeciwieństwie np. do Rzeszy niemieckiej — oficjalna recepcja prawa rzymskiego, niemniej przeto jednak prawo rzymskie — ów spisany rozum — ratio scripta — panuje bezsprzecznie jako jedyne uznane powszechnie źródło wiedzy prawniczej, jako szkoła jurystycznej interpretacji. Treścią swą i duchem, a jeszcze bardziej definicjami przenika ono i uzupełnia rodzime prawo polskie. Duch prawa antycznego w swej justyniańskiej postaci wpływa rozstrzygająco na polskie pojęcia o obywatelstwie i polskie pojęcia o prawie własności, wreszcie na polskie pojęcie o władzy rodzicielskiej rosnącej aż po wiek XVIII-y.

Starożytność przeprowadzała bardzo ściśle różnicę między pojęciem obywatela a pojęciem przynależnego do państwa — meteka; przeprowadzała też bardzo ściśle różnicę między pojęciem człowieka wolnego a niewolnika. W pojęciu starożytnym jedynie obywatel posiadać mógł aktywne prawa polityczne, jedynie obywatel też mógł wywierać legalny wpływ na bieg spraw państwowych tak przez oddawanie swego głosu, jak i przez sprawowanie urzędów, jedynie obywatel mógł posiadać ziemię. Nieobywatel — metek mógł tylko przyczynić się do pomoszenia ciężarów politycznych, wzamian za co korzystał z ochrony prawnej, mógł się bogacić i żyć wedle swego obyczaju. Metekowie, byli to ludzie pierwotnie obcego pochodzenia, ale na stałe w kraju osiedli. Otóż na skutek okoliczności, — pomijając ludność żydowską, — że ludność miast polskich była w górnym swych warstwach przynajmniej, pochodzenia niemieckiego, a więc obcego, zacieśniono w Polsce ostatnich Jagiellonów pod wpływem antycznych pojęć prawnych pojęcie pełnego obywatelstwa do warstwy szlacheckiej jako bezsprzecznie rdzennie polskiej. Takie pojęcie obywatelstwa jest zupełnie wyraźnie sformułowane już u Orzechowskiego.

STANOWISKO MIESZCZAN

Mieszczanin, podobnie jak w starożytności metek lub peregrinus, mógł stać się obywatelem jedynie w drodze nadania obywatelstwa, czyli w Polsce przez przyjęcie do warstwy szlacheckiej. Kto chciał w praktyce korzystać z praw obywatelskich, musiał podobnie jak w starożytności udowodnić swą przynależność do grona obywateli, przy czym — a jest to szczególnie, który dotąd uszedł uwadze historyków — staropolski wywód szlacheckiego — jest najdokładniej taki sam, co wywód obywatelstwa w Atenach epoki Periklesa, a może i jeszcze dawniejszej.

HENRYK SYSKA

Krajobraz

Gęstwina płatków śnieżnych
Za oknem
Leci r. by puch gęsi
Z rozprutej na wietrze poduszki.

Unoszone powietrzem
Lżejsze płatki uganają się za sobą
Jak dwie w ewiórki na borawskiej
gajówce
Wydzierając sobie wyszukany
orzeszek.

Jak okiem sięgnąć
Cisza.
Jeno od rokitnicy
Nawoływan a zgłodniałych kuropatw,
Które spłoszył na zadroskach
Nadlatujący od nowin jastrząb.

Nie śmiem narazie rozstrzygać, czy mamy tu do czynienia ze świadomą recepcją antycznego przewodu sądowego, czy może raczej z przechowaniem się w Polsce praryjskiego sposobu udowadniania czystości krwi. Jeżeli chodzi o dziedzinę stosunków własnościowych, zwłaszcza dziedzinę własności nieruchomości, to prawo antyczne przeprowadzało bardzo konsekwentnie zasadę, że ziemia ojczysta — politike chora — jak mówili Grecy, może pozostawać we władaniu jedynie obywatela. Stąd przywilej szlachecki wyłącznego posiadania ziemi na własność; stąd też odwrotnie i długie bardzo polskie zjawisko, że posiadanie ziemi prowadzi niemal automatycznie do szlacheckiego wessala niejako cały patrycyat krakowski oraz nieprzeliczone rzesze wolnych chłopów. Na ten ostatni szczegół pragnąłbym zwrócić uwagę; dlatego, że ten dziejowy proces deklasacji wzywz został pominięty milczeniem lub zbyt kilku słowami przez większość historyków. Korzystały zaś z tego procesu nieprzeliczone rzesze, czego wynikiem był olbrzymi rozrost liczebny warstwy szlacheckiej.

LOS CHŁOPÓW

Jeżeli na recepcji antycznych pojęć o własności skorzystała znakomita większość wolnych chłopów, to na losie chłopów poddanych recepcja odbiła się raczej ujemnie. W przeciwieństwie do prawa średniowiecznego, które uważało, że jedność i ta sama rzecz mogła być równocześnie przedmiotem kilku odmiennych praw własności oraz, że poszczególne jednostki ludzkie mogły być w różnym stopniu i równocześnie wolna i niewolna; prawo antyczne znało tylko własność jedną i wyłączną, własność pełną, dającą dzierżycielowi ius utendi et abutendi: prawo użytkowania i nadużywania. Człowieka zaś o wolności ograniczonej — zwłaszcza, jeżeli ograniczenie to łączyło się z obowiązkiem uprawy ziemi — prawo antyczne skłonne było utożsamiać nie z niewolnikiem wprawdzie, ale z kolcem, dla którego ojczyzną była włość, a władzą przeobrażającą go od państwa był pan włości. Takie starożytny colonus nie miał w państwie wiele praw, co prawda nie ciążyły też na nim żadne w stosunku do państwa obowiązki. Recepcja antycznych pojęć prawnych zepchnęła całą rzeszę chłopów poddanych do rządu kolonów i zamknęła przed mieszczanami — metekami możliwość wywierania wpływu na bieg spraw państwowych Polska na skutek tej recepcji nie przeszła przez ustrój feudalny, ani nie stała się państwem stanowym. Ale wracamy do warstwy pełnoprawnych obywateli, zwanej wedle pospolitej nomenklatury stanem szlacheckim, choć warstwa ta nie była stanem w średniowiecznym pojęciu tego słowa, podobnie jak nie był stanem zespół np. obywateli rzymskich lub ateńskich.

WARSTWA SZLACHECKA

Przeciwnie, opinia publiczna wewnątrz tego zespołu obywateli była jak najbardziej przeciwna wszelkiej stanowości. W tonie zespołu obywateli panowała najdoskonalsza równość, nieustannie przypomnana i bynajmniej nie fikcyjna. Różnice majątkowe nie miały żadnego prawnego znaczenia: pomysły uzależnienia wykonywania praw obywatelskich od jakiegoś cenzusu majątkowego, (np. wykluczenie szlachty tzw. nieosiadłej od prawa głosowania), nigdy nie zostały urzeczywistnione. Najuboższy nawet szlachcic mógł cieszyć się nadzieją, że dzięki zasługom zaprawionym zapewne i ziarnkiem szczęścia zasiądzie między senatorami: kariery Czarnieckich, Chmielceckich, Śmigalskich, Poniatowskich, to bynajmniej nie wyjątki, w każdym pokoleniu wymienić by je można. Pod tym względem demokracja polska przypominała nie tyle rzymską, ile ateńską. Rzecz jasna, że o żadnym prawie dziedziczości na urzędach nie mogło być w tym ustroju mowy, choć można wymienić kilkadziesiąt rodzin, w których, po-

dobnie jak w republikańskim Rzymie, parę pokoleń umiało się utrzymać na historycznej widowni.

ATENY I RZYM

Demokracja Polski przedrozbiorowej odpowiadała więc doskonale pojęciu demokracji antycznej, takiej, jak określili ją: Arystoteles i Polibiusz, a jeszcze wcześniej Herodot. Odpowiadała tym doskonale, że podobnie jak obywatel antyczny podlegał obywatel polski tylko tym prawom, które sam za powszechną zgodą uchwalił. Podlegał, o ile chciał i w tym także demokracja Polski przedrozbiorowej zbliża się raczej do typu demokracji ateńskiej, niż do legalistycznej twardej i zimnej demokracji republikańskiego Rzymu. Sentencja łacińska była na ustach wszystkich, ale praktyka życia codziennego przypominała łagodny, cokolwiek miękki i anarchystyczny obyczaj ateński, gdzie życie nigdy nie mogło się zmieścić w sztywnych ramach prawa.

Ateńskim też bardziej niż rzymskim był staropolski system obradowania zwłaszcza w okresie sejmikowładztwa. Wyrósł nasz sejmik wprawdzie z rodzimego podłoża ze słowiańskiego wiecu, ale bezładem swym, zgiełkiem i nerwowością żywo przypominał ateńską Ekklesję.

Także i polskie związki wojskowe koła rycerskie — pojawiające się niestety przeważnie w chwilach rokосу — żywo przypominają także instytucję właściwą greckim wojskom zawodowym V-go i IV-go w. przed Chrystusem Zwyczaj obradowania w kołach rycerskich pojawił się w Polsce w okresie gdy „Anabasis“ Ksenofonta była powszechnie znana; przemówienia zaś na tych żołnierskich sejmikach wydają się być wiernym powtórzeniem przekazanych nam przez Ksenofonta skarg wojowników na nienależyte ocenienie położonych za służbę i hojnie przelanej krwi, a zwłaszcza na niewypłacenie żołdu. Świadomie natomiast z rzymskich wzorów przejętym jest pojawiający się z końcem XVIII-go w., a jeszcze bardziej w czasach saskich zwyczaj możnowładców otaczania się liczną z drobnej szlachty złożoną polityczną klientelą. I rzecz i nazwa są rzymskie.

„Quid leges sine moribus vanae proficiunt“ powiada starożytny autor. I przedrozbiorowa demokracja polska nie stała też ustawami, za którymi nie opowiadała się przecie żadna mechaniczna siła. Stała tradycją, obyczajem, opinią publiczną, stała powszechnością i jednolitością kultury przenikającej wszystkie warstwy narodu, aż do samych głębin. Podobne zjawisko kulturalnej jednolitości narodu widzieliśmy w Atenach. Jak w antycznych republikach stała demokracja polska powszechną wolą społeczeństwa, umitowaniem ustroju, który jak w antycznych republikach, utożsamiano z ojczyzną. Stała gromadzkością. Sokrates wołał ponęś śmierć na mocy wyroku ojczystego sądu, niż ratować życie ucieczką. I polskie dzieje z XVIII-go wieku największego rozprężenia cnot obywatelskich znają wypadki, że zaocznie na śmierć skazany banita, dobrowolnie powracał z zagranicy do kraju, by poddać się wyrokowi. Jeżeli nawet przestępcy składali czasem dobrowolnie w ofierze życie, by zadość uczynić prawom ojczystym, to cóż należałoby powiedzieć o tych najlepszych i najszlachetniejszych, którzy z antyku czerpali zachętę do miłości ojczyzny i całopanej służby dla niej? „Duce et decorum est pro patria mori.“

Te słowa rzymskiego autora kazał sobie wypisać na grobowcu Hetman Żółkiewski. A wiemy, że w ustach jego nie były one frazesem, tak jak nie frazesem był wyrażony przez bohatera spod Kluszy na i Cecorya pogląd, że „obowiązkiem moim do miłości ojczyzny jest wznosić wspaniałe budowle ku ozdobie ojczyzny“. Szczerości słów wielkiego Hetmana świadczył przez stulecia zamek żółkiewski.

TEORIA POLIBIUSZA

Ustrój przedrozbiorowej Polski, jak każdarzewc ludzka, po okresie wzrostu, świetności i rozkwitu, wszedł w okres rozkładu i upadku. Stało się to po upływie trzech pokoleń od chwili, gdy Zygmunt

zrzekł się wszelkich praw dziedzicznych, składając pełnię władzy w ręce społeczeństwa. Działy żelazne, nieodwracalne prawa rozwoju i upadku form ustrojowych, zauważone już przez Arystotelesa i sformułowane z nieubłąganą logiką przez Polibiusza, a głoszące, że demokracja, (Polibiusz mówił jedynie o demokracji w stylu antycznym), jest po upływie czterech pokoleń skazana na nieuchronną zagładę na skutek mechanicznego działania właściwych tej formie ustrojowej wad, powodujących coraz to większą różnicę pomiędzy zasadami ustroju, a ich praktycznym, życiowym zastosowaniem. Dzieje ustroju Polski przedrozbiorowej potwierdzają raz jeszcze prawdziwość Polibijskiej teorii. Różnica jednak między zasadami ustroju a praktyką życia nie jest bynajmniej wyłącznością Polski przedrozbiorowej, ani Polski w ogóle i ci z pośród naszych historyków, którzy pisząc historię narodu, zajmowali się poszczególnie historią nadużyć, nie oddali najlepszej usługi ani społeczeństwu, ani nawet prawdziwie historycznej, choć wszystkie fakty, jakie przytoczyli, oparte są o autentyczne źródła, a być może, nawet zgodne z istotnym przebiegiem wypadków, a więc z prawdą. Ale prawda jednostronna jest bodaj szkodliwsza od nieprawdy. By więc dać w kilku słowach sprawiedliwą ocenę walorów kultury obywatelskiej Polski przedrozbiorowej, przytoczę słowa dwu poetów: Wincentego Pola, który choć wielbiciel przeszłości, powiada, że:

Szlachcic, gdy się rozparł w Rzeczypospolitej.
To samowoli czasem nie było granicy.
I krzywda nie raz siadła na krzywej szablicy“.

Temu sprawiedliwemu osądowi można przeciwstawić równie słuszne słowa, które Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“ wypowiada ustami Wojskiego:

„Ach! Wy nie pamiętacie tego państwo młodzi.
Jak wśród naszej burzliwej szlachty samowładnej.
Nigdy nie trzeba było policji żadnej.
Dopóki kwitła wolność szanowano prawa.“

W LATACH NIEWOLI

Na tym możnaby zakończyć, jednakowoż nie dałbym oceny polskiej przedrozbiorowej kultury obywatelskiej, gdybym nie zwrócił uwagi na zjawisko nieopisane jeszcze przez naszą historiografię, na stan rzeczy, który się zakończył przed trzydziestu laty zaledwie, a więc za pamięci żyjącego jeszcze pokolenia: Państwowość polska zakończyła się ostatecznie w r. 1795. Przedrozbiorowy naród polski tj. warstwa stanowiąca zespół obywateli wychowanych na kulturze, której antyczne źródła i cechy staraliśmy się naszkicować, utraciła możliwość rozporządzania jakąkolwiek mechaniczną siłą, mówiąc słowami Wojskiego nie miała naprawdę „policji żadnej“. A jednak na całym obszarze dawnej Rzeczypospolitej a więc na przestrzeni setek tysięcy kilometrów kwadratowych, na przestrzeni nieskończenie większej niż obszar Polski etnograficznej, ten wychowany na obywatelskiej kulturze Polski przedrozbiorowej zespół ludzi potrafił aż do chwili wybuchu pierwszej wojny światowej, a więc przez lat sto dwadzieścia, a więc przez przeciąg czterech ludzkich pokoleń, utrzymać niezaprzeczany przez najzawziętszych wrogów prymat polskiej cywilizacji i polskiego języka. Potrafił, choć przysięgły się przeciwko niemu wszystkie absolutyzmy i całe barbarzyństwo Europy środkowej i wschodniej. Utrzymał ten swój prymat nawet tam, gdzie liczbowo biorąc nie reprezentował nigdzie dziesięciu, a częstokroć spadał poniżej trzech procent. Stało się to dlatego, że mając przeciw sobie cyfry, miał za sobą jakość. I trzeba było dopiero trzęsienia ziemi by go tego przewodniego stanowiska pozbawić. To zjawisko jest chyba niezaprzeczalne. Chcąc obywatelską kulturę Polski przedrozbiorowej należycie ocenić, trzeba to zjawisko bardzo głęboko przemyśleć.

Jan Stanisław Łoś

ZYGUNT MIKULSKI

WSPOMNIENIE O WITOLDZIE HANZLU

Banalnym jest twierdzenie tragizmu tkwiącego w śmierci jednostek zbyt krótko przebywających wśród żywych, by w momencie zgonu zostawić trwałe ślady swych dokonań. Zawsze bez pokrycia i możliwości operowania argumentami rzeczy bezspornych jest gloryfikacja nie rozwiniętego w pełni talentu jako epita-fium. Jednakże okoliczności zbyt bliskiego kontaktu i porozumień z kimś niedawno jeszcze dzielącym ten sam niepokój, a już na zawsze znieruchomiłym w swym ostatnim pamięciowym obrazie czynią za śmierci Witolda Hanzla wydarzenie bez reszty wyzwolone z martwoty powyższego schematu u Jego lubelskich przyjaciół. W życiu i twórczości żywo związany z Lublinem lat 1935—39, zmarły poeta oprócz nielicznego zbioru nigdy nie ujętych wspólnymi okładkami wierszy zostawił wspomnienie swej oichej, w połowie przerwanej drogi, rzetelności w stosunku do zagadnień i spraw oświaty, przyjaźni krzepiącej w okresie młodzieńczego rozgoryczenia światem. Wstąpił w śmierć, jak szedł przez życie: spokojnie, milcząco, bez samochwalczego unoszenia głowy.

Trudno dzielić na okresy ten krótki żywot: młodość wszystkim kończy. Zalewie po pierwszych udanych próbach poetyckich zapadł mrok lat 1939—45, kiedy gwałtowny napór aż nadto raniących spraw dnia codziennego uniemożliwiał twórczość artystyczną nawet jako protest, nawet jako odruch samoobrony przeciw zalewowi rozpacz, grozy, trwogi. Czujący żywo, nie uciekający w krainę fantazji przed zetknięciem z chropowatością losu nie znajdował Hanzel moralnych podstaw do snucia w niedawnej młodości zaczętych napowietrznych szlaków wizji poetyckiej. Zamknął — i jak się w kilka lat później okazało — na zawsze. Jest tragiczne w pokoleniu, do którego należał, że obraz jego wewnętrzny w oczach społeczeństwa utrwalił się na podstawie widoku cofniętego o kilka lat wstecz od momentu, kiedy pokolenie to brało w płuca oddech najszerszy, że ludzkie struny tej harfy, którą było tworzenie historii, milkiły jedne po drugich; że usta zakneblowane okrzykiem cichły — bezśpiewnie. Poeta Witold Hanzel nigdy nie przewidywał, że swobodnie rozrzutna i napół młodzieńcza twórczość ucznia i studenta będzie jego wyrazem ostatnim.

Nerwowy, nierówny puls życia literackiego Lublina lat przedwojennych, w zainteresowaniach i twórczości najmłodszych specjalnie żywym toczący się nurtem, znalazł Hanzla na drodze powolnego, ale własnego konkretyzowania swej poetyckiej osobowości. Czasy dojrzalego rozrostu lubelskiej awangardy Czechowicza i poezji Józefa Łobodowskiego wespół z jeszcze młodzieńczym niepokojem

jednostek z bramy szkolnej wchodzących na przepelnioną wielkościami salę tzw. życia wytwarzały temperaturę, w której oddech stawał się przyspieszony, a drżenie rąk nie pochodziło z dotknięcia korony. Rozgoryczony ton i cierpki pesymizm poezji nie będącej niczym więcej ponad reflektowanie przykrej rzeczywistości społecznej nie urzekł jednak poety, jak Hanzel — mimo naprawdę rzadkiej wrażliwości na dysonanse chwili — zamkniętego w ermitażu upoczywey, rzetelnej i odosobnionej pracy. (Nasuującym się i niezaprzeczoną wyraźnie wnioskiem o pięknoduchym egotyźmie nie chcę niedźwiedzią oddając przysługę krzywdzić oddawna już miłującego poety, w czasach na podstawie przede wszystkim społecznych kontaktów pisarza decydujących o jego ważności, gdyż ostre zacięcie ust autora dziś już rozproszonych wierszy jest mi wyraźnym dowodem zarówno gorzycy ściśniętego gardła, jak i protestu przeciw obniżaniu do utalentowanej gry o karierę tego, co na zawsze powinno zostać poezją). Zapatrzonej uważnie w jakiś daleki, aż do nieruchomości, punkt, wrażliwy na szmery i szelesy rozpościerające się poza granicą głosów słyszalnych uchem, nigdy nie zdradzony uczestnik jakiejś pół-tajemnicy obecnej w spadaniu liści, przelocie wiatru, szedł Hanzel przez życie i ulice Staro Miasta stykając niekiedy koniec swego ołówka swych spostrzeżeń z kartką pamięci dla zanotowania szczegółu, z którego potem wyrastały dziwnie piękne obrazy. Wyhodowaną miłością wrażli-

wością potrafił wyraźnie uchwycić to, co uchodziło za warunkujące założenie, nie materialne w słowie — umiał dyskryminnie rozdzielać rzeczy zróżnicowane przed narodzeniem swej wspólnej nazwy. W tym bagatelizowanym (oprócz poety tkwił w Hanzlu intelektualista obecny w najbardziej poetyckich momentach) pochodzie czarodziejstw, w szpalerze zdarzeń tak zwyczajnych, że aż wykwiatających przedziwną poezją szedł Hanzel trwoniąc wiersze, pomysły wyrosłe u samego autora przedwcześnie, zmrożone chłodem własnej na nie obojętności; w umyśle tym bowiem dojrzał jeden z postulatów klasycznego dramatu francuskiego: czarujący melange de grotesque et du sublime.

Dzięki tej wielostronnej i czulej wrażliwości, obserwującej każdy przedmiot z kilku równocześnie punktów, mógł Hanzel konstruować swój światopogląd pełen pozornych, w ostatniej instancji zagadnienia poezją tłumaczonych przeciwności. Sprzeczności tkwią w samej rzeczywistości, poeta ją widzi w miejscu najbardziej wstydlwym, tam, gdzie nie wychodzi ona jeszcze w pełnej szacie fizycznego ustroju zjawisk przed oczy naturalistom, w okuciu pragmatycznego fałszyka przyczyn i skutków w widzeniu empiryków. Rzeczą tej poezji nie jest wykrywanie rozłamów, niekonsekwencji, jest współdziałanie w narodzinach świata. Dlatego wbrew tak częstemu porównaniu Hanzel jako poeta nie jest aparatem nadawczym, lecz odbiorczym; organizuje podstęp w miejscu, gdzie spodziewa się wzrostu trawy. A choć niezawsze rośnie

tam muzyka kwitnienia, ciekawym jest sam szmer wysiłonej, oczekującej tworzenia ciszy.

Ta poezja zdań warunkowych, więcej poetycka fenomenologia przemiany, aniżeli dokument poetyckiego czynu, jest szlachetnej krwi. Świadczy, że Hanzel miał coś bardziej współczesnego od poetyckiego instynktu: umysł poety. Jedyne ślepe przekonanie potrafi oburzać się, woleć, wymagać — umysł reflektuje. Ze stanowiska poety, ale i tylko poety, Hanzlowi wystarczała rzeczywistość. Nie potrzebował jej upiększać, „problematyzować“, podnosić do wysokości artystycznego wzroku. Wrażliwy intelekt spostrzegał w niej dźwięk dziwów, niejasności, tajemnic i piękna; najazd zdumienia. Złudzeniem jest, jakoby rzeczy, wydarzenia i fakty miały swe łatwe do ujęcia, powszechne oblicze. Na drodze jedynie konwencji dochodzi się do wspólnych ocen, co jest raczej wynikiem konieczności technicznych ułatwień porozumienia, aniżeli wyrazem osobistego widzenia. Zamknięty w miłczeniu umysł Hanzla nie bierze udziału w powszechnej konwencji nazwywania. Tworzy nie tylko nazwy, ale kategorie poetyckiego ujęcia. Wiele z introspekcji tworzenia zawierały samotnicze wędrówki w mrok wieczornie uspiętego Lublina. Tam Hanzel sprawdzał rzeczywistość swoich przemyśleń, zrodzonych w aświecie czterech ścian. Tam wyrastała Jego ojczyzna.

Lubelski „jesień chloroform“ tęsknotą zabruł usta. Powikłany w splocie stygających gałęzi, pędzony odgłosem niepotrzebnie rzuconych kroków, które wraz z liśćmi podrywał wiatr, nieruchomiejący na wieżach uroczyście milczeniem zegarów czas poety przemiłował wolno, jak zamykanie powiek w fiolecie muzycznych zmierzchów. Świsł flageoletu w jesionach, płaskie odbłyśki od szyb. Pod stopą kamienna pustka przedłuża martwą nieśmiertelność chwili. Pod kawałkiem antenami rozpiętego nieba wzrok

nad ojczyznę uspiętych skra flet borealny
dymi gwiazdzisty fryl fiolety ła ogrodem
powitania zakłęcia dłoni modlitewnej
raj dziwny kraj dziewiczy wyspy Epizodów
pobudko
noc niebieski globus pas szyb czernią śpiewa
po domkach maleńkich mieszka lakmus
dzień
k-asnoludek codzien owiewa film śniegiem
i kremowe mapy inne są to wiem
pobudko
płonie ład miłości językiem zegarów
biegnie Venus z nieba dzwoni odjazd śmierci
ład Epizodów gra hymn pożegnalny
przybliża świt mroźny codzienność śmierci
pobudko

Czuje pewien niepokój w zakłóconym sumieniu sprawozdawcy. Zdaje mi się, że wszystko przed wierszem zmarłego napisałem niepotrzebnie. Poezja nie wymaga definicji. Śmierć tym bardziej.

Zygmunt Mikulski



Scena z aktu II granej z wielkim powodzeniem w Teatrze Miejskim w Lublinie sztuki „Przyjaciół nadejdzie wieczorem“ Antoni Różycki, Leon Łuszczewski, Józef Kondrat

[Patrz str. 6-1a]

A teraz koniec z koleżeństwem. — Schluss mit der Kameradtschaft! — Obergefreiter Fritz Hube wziął na pas karabin, poprawił ładownice i otworzył drzwi od przedziału, puszczając tamtego przodem.

Poszli. Obok małego budynku stacyjnego, zostawili na boku miasteczko, skręcili na szosę prowadzącą przez las do obozu. Zaczynał zapadać wczesny, jesienny zmierzch.

Szli nie zauważeni przez nikogo, nikt się za nimi nie oglądał. Cóż wartownik prowadzi ze stacji polskiego oficera — jeńca, pewno wracają ze szpitala. Widok powszedni i mało interesujący.

Obergefreiter Fritz Hube widzi przed sobą przygarbione plecy, widzi człapiące buciska i żal mu trochę, że skończyła się już ta podróż. Tak im się przyjemnie gwarzyło przez dwie godziny, a teraz czuje, że jeszcze nie jedno miałoby mu do powiedzenia.

Jednak dobrze jest wygadać się przed kimś do dna, wypsioczyć na wszystko bez obawy, że tamten powtórzy, gdzie nie trzeba. Nie krępował się więc Obergefreiter przed tym obcym, przed wrogiem. Jaki on tam wróg! Stary, schorowany, pięć lat nie widział żony, nie widział dzieci, nie widział wnuka, który przyszedł na świat przed rokiem. Pokazuje fotografie. Nie wie, czy ich jeszcze kiedy zobaczy, bo ta jego cho-

roba pęcherza, jakiś nowotwór, właściwie lekarze nie wiedzą, co to jest...

Obergefreiter próbuje pocieszać. — Komu teraz dobrze? — Woja i wojna, ani końca nie widać, a ty człowieku dawaj ze siebie wszystko. Cóż, on sam, fachowiec, majster — a teraz dziad. Zaciska pięści. Wszystkiemu winni tamci! — Rozgląda się podejrzliwie dokoła, a potem w samo ucho syczy:

— Bydło bronzowe — die braunen Schweinhunde!

I co oni z ludźmi zrobili? Jemu samemu czasem aż wstyd przed jeńcami. Jest u nich w kompanii wartowniczej taki jeden Melchert, ten co to — pamięta pan — przed miesiącem na robotach zastrzelił kaprala. Za co? Kto to wie! Popchnął go, czy chciał uderzyć, ot jakieś głupstwo. Mówią, że ten kapral miał w kraju pięć-oro dzieci, żonę...

I na co to! — rozżala się Obergefreiter. Człowiek, to przecież nie mucha. A tamci, żeby mu chociaż dochodzenie porządne zrobili, ale gdzie tam! Dostał dwa tygodnie ekstra urlopu i awans na Unteroffiziera.

Eskortowany jeńiec uśmiecha się blade. — Wojna, wojna, — powtarza, a potem wyciąga pudełko angielskich papierosów i czestuje. Musiał zauważyć błysk chciwości w oczach Hube-go, bo wyjął z kieszeni drugie, pełne pudełko i daje.

OLGIERD CZERNIEWICZ

Obergefreiter

— Bitte, nehmen Sie, ich habe genug...

Rozrzewnił się Obergefreiter, przyjął papierosa, schował. — Żeby nie ta przekłeta wojna, toby się poszło gdzie na piwko, na cygaro, pogadało z takim miłym znajomym.

Klepnął go po kolanie, a tamten uśmiechnął się ze współczuciem widać, że będzie słuchał. Więc Obergefreiter Fritz Hube zaczyna gadać. O wszystkim jak go urządzili przez tę wojnę, jak zeszedł na psy, jak żona na starość musi ciężko pracować. A najgorzej to z Emmą. Zawróciła sobie głowę tym bandytą, który chce się z nią żenić. Gdy sam był niedawno w domu, perswadował jej, prosił, zaklinał. Przynęcał, że tamtego rzuci. A teraz mu pisze, że przyjechał na urlop i będzie ślub. — Nie on tego nie przeżyje! — Obergefreiter aż ścisnął się za łeb.

— A spróbować jeszcze raz, pojechać, użyć perswazji. — wtrąca jeńiec.

— Aber, Menschenkind! — w jaki sposób?

Tu musieli przerwać rozmowę, bo dochodził do stacji.

ALEKSANDER SERAFIN

Emil Verhaeren (1885-1917)

My, Polacy, znamy dobrze zachód, jego kulturę i sztukę a w szczególności kulturę i literaturę francuską, zarówno dawną, jak i nową. Natomiast — wiemy stosunkowo bardzo mało o Belgii, jej życiu, jej nader ciekawej kulturze i literaturze, z którymi warto zapoznać się choćby w zarysie. Mówiąc o literaturze belgijskiej pamiętać należy, iż rozwijała się ona w trzech różnych językach: flamandzkim, walońskim i francuskim i że każdy z tych języków wytworzył własną, bogatą literaturę i miał swoich własnych mistrzów.

Wśród autorów belgijskich, piszących w języku francuskim na przełomie XIX i naszego wieku, ma specjalne wyróżnienie zasługuje Emil Verhaeren. Jego duchowa sylwetka i twórczość, związana ściśle z wielkimi prądami literatury francuskiej — dominuje nadal nad współczesną literaturą belgijską, choć upłynęło już 30 lat od jego zgonu.

W okresie twórczości młodzieńczej, którą rozpoczynają utwory: „Flamandki“ i „Mnisz“, oparte na starych tradycjach sztuki flamandzkiej, podlegał Verhaeren kolejnym fluktuacjom wpływów literatury francuskiej począwszy od Wikora Hugo, poprzez „parnasistów“ i Beaudelaire'a, aż do Emila Zoli.

W czasie od 1877—1890 przeżywa poeta okres ciężkiej choroby fizycznej, głębokich walk wewnętrznych, zwątpień religijnych i moralnych, co doprowadza go do pesymizmu i załamania duchowego. Owocem tych nastrojów są utwory: „Wieczory“ i „Kłęski“.

Ze swej duchowej „kłęski“ i choroby wychodzi poeta odrodzony i duchowo przetworzony. Do jego fizycznego i duchowego uzdrowienia i odrodzenia się przyczyniło się małżeństwo poety i uzyskane szczęście życia rodzinnego. Wydobywa on teraz z siebie nową energię uczuciową, która ogarnia wszystkich i wszystko. Od tej chwili akcentem zasadniczym jego twórczości będzie szlachetny altruizm i głęboka litość dla cierpienia, wiara w dobro i piękno, wiara w celowość życia i lepszą przyszłość świata. W ewolucji swego światopoglądu dochodzi E. Verhaeren do mistycyzmu. Jest to okres od 1890—1900. Wszecogarniająca miłość przenika teraz duszę poety, wygładzając dawne szorstkości jego temperamentu. Przerzuca się on w tym czasie na twórczość epicką i prozę. Owocem tego okresu jest trylogia, której poszczególne części noszą tytuły: I. „Jutrzenka“, II. „Klasztor“ i III. „Filip II“.

Dalszym etapem natchnienia epickiego autora jest jego dramat „Helena ze Spar-

ty“, oparty na motywach mitologicznych.

W ostatnim okresie swej pracy literackiej powraca Verhaeren do poezji, w której wypowiada najpiękniejsze uczucia swej subtelnej duszy, przejętej entuzjazmem dążenia do doskonałości. Staje się on piewą pełni życia współczesnego we wszystkich jego przejawach i apostołem braterstwa między ludźmi i narodami.

Tę piękną działalność poety przerywa brutalnie tragiczny dzień 4 sierpnia 1914

roku, w którym barbarzyńcy niemieccy, gwałcąc wszelkie prawa i umowy międzynarodowe wtargnęli do ojczyzny Verhaerena, zgwałcili jej neutralność i pograżyli ją na przeciąg długich 4 lat w ponurą i krwawą niewolę okupacji.

Nie załamało to jednak zapału poety: tragedia ojczyzny stała się dlań nowym bodźcem do walki. Staje się on prawdziwym wieszczem umęczonego narodu. Z okresu wojny pochodzą jego utwory tej miary jak: „Czerwone skrzydła wojny“, „Wysokie płomienie“ i „Rytmy

królewskie“ (ostatnie utwory wydane już po śmierci autora).

Emil Verhaeren nie doczekał już, jak nasz Senkiewicz, radosnej chwili oswożenia ojczyzny spod niemieckiego jarzma, pozostawił jej jednak bogatą spuściznę literacką, z której Belgia może być dumna. Wydobył on literaturę belgijską z partykularza walońskich lub flamandzkich regionalizmów i wyprowadził ją w świat wielkich prądów literackich literatury europejskiej i w świat ogólnoludzkich idei i dążeń. Twórczość jego to wspałały koncert, w którym wygrano wszystkie harmonijne i twórcze akordy szlachetnej duszy człowieka. Belgia i Europejczyka, a przede wszystkim — genialnego poety i subtelnego, głębokiego artysty.

I choć E. Verhaeren był bardzo skromnym człowiekiem, obdarzonym wielką dozą samokrytycyzmu, to jednak niewątpliwie miał prawo bez fałszywej skromności osądzić swe stanowisko w literaturze belgijskiej następującymi słowy:

„Wy dla mnie wszyscy Czasu lennikami:
On jeden dzieło moje osądzi, przechowa,
Jam to zwycięzcy ręką ujął pokłócone
słowa,
By jak burza wybuchły mych wierszy
rytmami.“

(„Rytmy Królewskie“)

Aleksander Serafin

JAN WOJAKIEWICZ

W Szklarskiej Porębie

(Śląsk Odzyskany)

To się należy nam wszystkim
niewolnikom szczęściu lat:
odpoczywamy! — Jakże bliski
jest ziemi tej halny wiatr!
Ta sama zakopiańska mgła
przewala się po szczytach —
tak samo powietrze tu drga
rozelśnione słonecznie...

Witaj

wczorajszy wężniu Majdanką,
„Auschwitz'u“, Flossenburg'a
i Ty, który miałeś pseudo: „Nagan“
i Ty, którą nazywali: „Mira“.

Przeminęło z wiatrem czarne „wczoraj“
i już nigdy nie wróci do Was;
dzień dzisiejszy to Wasza „gloria“
biało-amarantowa...

Twardej mowy nauczeni w bitwach
Wiem, „podziemni“ — słów tych nie lubicie,
lecz pozwólcie: POLSKA zakwitła
Waszym znojem żywiona — Waszym życiem!

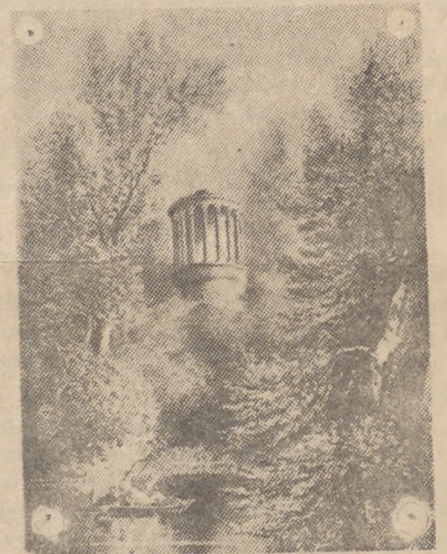
Na tej ziemi — wysoko, śmiało
Wasza Polska wyśniona rośnie
jak w modlitwie: ciałem się stało
Wielkie Słowo: OJCZYŻNA — głośniej,

śmielej, weselej, niech śpiewają usta dziecięce,
że: „Już nigdy nie rzucim tej ziemi —“
że: „Nie damy Jej zabrać więcej!“

Wiem; słów takich nie trzeba —
wszak wystarczy spojrzeń'em ze wzgórz
objąć ziemię po krańce nieba,
by zrozumieć, przed sobą wyznać:

To już

na zawsze OJCZYŻNA!



Świątynia Sybilli w Puławach, widok z dolnego parku, dzieło arch. Aignera z 1803 r. Przykład pawilonu parkowego z przełomu XVIII na XIX w., wzorowanego na architekturze klasycznej rzymskiej.

Fritz Hube

— Emma, Emma, — mruczy Hube pod nosem, jakby kontynuował rozmowę. Zawsze była dobrą dziewczyną, dobrą córką. Tak, pojechać, przytułić do serca, poprosić, żeby nie porzuciła starego ojca, nie wychodziła za tego bandytę. Pomogłoby, pewno by pomogło.

— Ale jak? — Chciałby spytać tamtego, który kroczy przed nim. Już go nigdy nie zapyta, o nic. Odprowadzi go do obozu i nie zobaczą się pewno więcej. A szkoda.

— Was?! — zawołał nagle, bo tamten przystanął i odwrócił się ku niemu. — Co, znowu te bóle i parcie na pęcherz? Chce na stronę? Dobrze, niech sobie zejdzie na bok, między drzewa, a on na niego tu zaczeka.

— Emma, Emma, — powtarza odruchowo. Upaść przed nią na kolana i błagać, zaklinać. Znaleźć jakieś magiczne słowo, któreby go przyniosło tam, do nich...

— Jak tamten niezdarnie gramoli się przez rów. Po co on tak daleko odchodzi od drogi? Przecież chyba nie myśli o ucieczce w takim

stanie. Ale niechby лихо przyniosło jak'ego podoficera, to miałby się z pyszna. No, nareszcie stanął, rozpina płaszcz...

— Emma, Emma, zawsze byłaś dobrym dzieckiem, kochałaś ojca...

Wzdrygnął się Obergefreiter Fritz Hube, zupełnie tak, jakby go ktoś tracił z całej siły w plecy. — Nie, nie! — zawołał przerażonym głosem. Ręką chwycił się za czapkę, zdął, wystawił łeb na powiew chłodnego wiatru.

Ale poczuł, że słabnie, że to coś nowego rośnie w nim wbrew woli i że wreszcie będzie musiał stać się. — Nie, nigdy! — woła rozpaczliwie, ale już bezwolna ręka sięga do pasa od karabinu, już podnosi kolbę do ramienia...

— Jak on musi męczyć się — myśli Obergefreiter Fritz współczująco. — Cały jest zgięty w kablak.

— Całe szczęście, że odwrócony jest tyłem — mówi ten drugi, który go tracił w plecy. — Jest jeszcze jasno, dobrze widać...

— Emma, Emma, moje dziecko!

Jeszcze za wcześnie, trzeba poczekać, aż zapnie spodnie, płaszcz, żeby potem w razie czego...

— Nie! Nie!

— Teraz, wstrzymać oddech, bo ręce drżą, wycelować... Prędkiej, bo tamtem jeszcze się odwróci... Te — raz!

Zatoczył się jak pijany, karabin zwisał mu bezwolnie w ręce, w uszach dzwoniło od huku wystrzału.

— Nie, to przecież nieprawda, jakże to mogło stać się...

— Emma? — Do diabła z Emmą!

Ktoś biegnie tupiąc podkutymi butami po szosie. Zebrać się w sobie, zarzucić karabin. Przyjąć postawę służbistą, stuknąć obcasami. Poznać go, to on, Melchert, pyta o coś.

— Jawohl, Herr Unteroffizier!

Melchert klepie go po ramieniu, chwali. — Chciał uciekać? — a no to w porządku! — Przesadza rów, schyla się nad tamtym, ogląda.

— Der ist schon erledigt — stwierdza z zadowolaniem, a potem każe mu zostać na miejscu, a sam odchodzi, by sprowadzić ludzi z wózkiem.

I znów na leśnej szosie jest pusto. Ciemnieje coraz bardziej. Już nawet kontury leżącego pod drzewem zlewają się z szarym tłem jesiennych badyli. Czy wogóle coś się stało?

W głowie pustka. Tylko ręka sięga odruchowo do kieszeni, wyciąga tekturowe pudełeczko z papierosami. — Co to, angielskie?

Chwila, ułamek sekundy wahania, a potem wszerzenie ramion i błysk zapalniczki, rozjaśniający na chwilę ciemności.

IRENA ŁADOSIÓWNA

STANISŁAW K. PAPIERKOWSKI

FELIETON TEATRALNY NA CENZUROWANYM

„OSTROŻNIE! — ŚWIEŻO MALOWANE!” — Zawołał dyr. Różycki, do zjeżdżającego z urlopow zespołu teatralnego — a że uczestniczył w tym „WESOLY WSPÓLNIAK”, (mistrz Antoni Fertner), więc Lublin nie wziął mu za złe, że letni sezon ogórkowy zabarwiła sztuka lżejszego kalibru.

Właściwy sezon rozpoczął zawsze miły i drogi sercu: „PAN JOWIALSKI”, który zwałczył, nawet kłopoty z „WERYFIKACJĄ”, zwłaszcza, że na wieść, iż „PRZYJACIEL NADEJDZIE WIECZOREM...” — zjawiała się „MOJA ŻONA PENELOPA”, i czarnie uśmiechu rozjaśniła teatralnie smętne „NIEBO BEZ GWIAZD”.

Karnawał — pomyślał Różycki, i postanowił: Trzeba prowadzić „DOM OTWARTY”. — Niechaj wszyscy się wesela — a przede wszystkim młodzież — niech idą do teatru wszystkie „SZCZENIAKI” — wtedy będzie każdy zadowolony.

Z wiosną, kiedy świat okryje się zielenią — kiedy nawet „ADWOKAT I RÓŻE”, nie będzie paradoksalnym zestawieniem, a palestra upoi się wonią kwiecia — Teatr Lubelski, urządzi swemu dyrektorowi jubileusz, 40-letniej pracy.

I tak oto, w sposób nieco frywolny, mamy repertuar teatralny, mniej więcej do jakiegoś kwietnia.

A tymczasem w teatrze wre praca przedpremierowa „Domu otwartego” i „Szczeniaków”. — Wszędzie gwar i ruch; W kancelarii dyrektora konferencje obiadowe, w garderobach — sejmiki aktorskie, w pracowniach krawieckich warkot maszyn, gwałtowne mierzenie kostiumów. W perukarni, rosną modne fioki tiunniurowe, w malarni rodzą się tapetowe wnętrza Bałuckiego, na które patrzy ironicznie nowoczesność szkolna „Szczeniaków”. — Na scenie panuje niepodzielnie gorączka ostatnich prób.

Wśród tego gwaru i ruchu, w mrocznych cieniach kulis, kryje się niewidzialna Władczyni-Sztuka.

Nieśmiertelne jej serce drży w oczekiwaniu uderzenia w „wielki gong”. Wie, że wcześniej, czy później, musi to nastąpić. Wie, że Fredro, Bałucki, Szaniawski — to stopnie, prowadzące, do wielkiego ołtarza.

Władczyni patrzy badawczo w twarz lubelskiej drużyny aktorskiej. Uśmiecha się do młodych i wodzi, iż nie prawdą jest utarte twierdzenie, że nie ma teraz zapasu dla niej — a w oczach starszych i nawet tych steranych już życiem pragmatyzm zespoleńca się z nią — jest silne — budzi wiarę i pewność w jasną przyszłość teatralną.

Idzie Władczyni mrocznymi korytarzami tam, gdzie jej główna kwatera — idzie na Scenę. Tu niewidzialna będzie czekać dalej, aż spełni się to, co ją wywołało z ukrycia...

Aktorzy, choć często robią wrażenie niesfornych niedorostków, lub pustych, lekkomyślnych zjadaczy chleba — choć między sobą nie żonglują wielkimi słowami, czują obecność tej, której zaprzędali życie.

Objawia się to często, w sposób niemal dziecinny: rzadko który aktor, przejdzie przez scenę z hałasem — nawet kiedy się na niej nie dzieje — przez scenę idzie

się podświadomie na palcach. — A niech tylko ktoś spróbuje stać na scenie w kapeluszu — największy cynik z oburzeniem krzyknie: — „Proszę zdjąć kapelusz — to Scena!”

Zdawałoby się: śmieszne — a jednak tkwi w tych drobniostkach nie tak zwane „dobre wychowanie” — ale coś z poszanowania, z kultu.

Obserwują życie teatru statystujący w sztukach uczniowie szkoły dramatycznej i zaczynają rozumieć, że prymitywnym obowiązkiem, podstawową racją istnienia aktora jest to, by głębiej czuć, więcej widzieć, bystrzej pojmować, mocniej i barwniej wyrażać, niż inni jego współcześni, którzy przynoszą mu materiał swych czynów, typów, przemian. Być aktorem — aktorem „prawdziwym” — nie znaczy tylko: mieć talent, czy zdolności — duszę czy serce — ale to znaczy: mieć, oczy, ręce, stopy — pracowite, spragnione, świadome — zdolne czuć widzieć, czerpać, przetwarzać.

Materiał uczniowski szkoły lubelskiej zdaje się już to rozumieć — i może tym się tłumaczyć to, że naprawdę kochają Słowo i czują jego wartość.

Na warsztacie szkolnym, po fragmentach festiwalowych Irydiona, „Pana Tadeusza” i „Marii Stuart” — mogły się już z całym rozmachem ukazać nietylko dzieła rodzime, ale i Rostand, Schaw, Oscar Wilde, Ibsen... A warto zobaczyć, z jakim oddaniem pochylają się nad tymi pracami głowy młodych zapaleńców.

Ale, wracając do teatru trzeba jeszcze wspomnieć, że, jeżeli czasem zarzuca się braki czy niedociągnięcia repertuaru, zwłaszcza współczesnego, należy zauważyć, że współczesna nasza literatura dramatyczna — materiału tego, pojętego w sposób najrozleglejszy, dającego się rozwijać scenicznie zajmująco — nie daje.

Treść życia, któreśmy dopiero co przeżyli i przeżywamy, jest znacznie mocniejsza, bogatsza. Być może, że najbliższa przyszłość ukaże ją nam w formie nowej, głębszej, pełniejszej. Może nasz przelotem dziejowy, przejście od śmierci do życia — wagą swoją, doniosłością ogólnej przemiany zapłodni literaturę dramatyczną, wzbogaci scenę polską, nabierze do płuc wolnego powiewa, stworzy jakiś nowy repertuar, nowy teatr. Zanim to jednak nastąpi, będziemy dalej sięgać do starożytności, niezawodnych źródeł... a podobno mamy w perspektywie nie byle jakie... pełne czaru, krystaliczne, które mogą podnieść wartość naszego teatru wysoko i dać nie byle jakie przeżycia i emocje: SZEKSPIR! — Aż skrzypli pióro aktorskie droszczem niezwyklej tremy pisząc to małe a tak wielkie słowo. I ręczę, że każdy aktor, i ten mały, i ten wielki, i ten kpiarz, i ten pięknodusz, i nawet frazesowicz — i ten co „leci” na gaź — i ten co poluje na rolę — i ten spragniony, niewyżyty i ten sterany, poznaczony bez zapasu — każdy odczuje świąteczne brzmienie tego nazwiska, każdy zapagnie w danym momencie stać się istotną częścią teatru — ucieleśnieniem Szekspirowskiej myśli, Szekspirowskiego słowa.

Oby tylko to słowo, istotnie stało się ciałem. — Tego należy serdecznie życzyć i Teatrowi i Publiczności i aktorom lubelskim.

Irena Ładosiówna.

Są tacy, którzy twierdzą, że o rzeczach wielkich wolno mówić lub pisać w sposób ściśle określony, ale zawsze dostojny. Jeżeli jednak zgodzimy się, że każda reguła ma swoje wyjątki, przyznamy, że o sprawie wielkiej, jaką jest niewątpliwie teatr, wolno czasem pisać stylem bezpretensjonalnym, a nawet wręcz lekkim, felietonowym.

W taką felietonową formę ubrała Irena Ładosiówna nie tylko szereg interesujących uwag o życiu teatralnym Lublina, ale i swój osobisty stosunek do teatru. Zaczniemy od tych pierwszych, skoro one z natury swojej bardziej do dyskusji się nadają i dyskusję tę wręcz prowokują.

Kto nie ogranicza się do bywania w teatrze w celach wyłącznie rozrywkowych przyznając mu jedynie charakter bawiący, ale rozumie i docenia dwa inne, szczytniejsze zadania teatru, jakie występują w jego aspekcie kształcącym i wychowawczym, sublimującym odbiorcę sztuki teatralnej, odbiorcę nawet przygodnego, — dla tego nie jest rzeczą trudną określić dorobek Teatru Miejskiego w pierwszej połowie bieżącego sezonu. Poprzez zaś ten dorobek łatwo jest nazwać sam teatr. Dobór utworów wystawionych do tej pory (wymienia je Ładosiówna w swym „Felietonie”) domaga się określenia naszego teatru jako teatru par excellence miejskiego.

Nie ma, oczywiście, w tym określeniu ani cienia intencji pomniejszenia wartości i obniżania poziomu naszego Teatru. Wszelka bowiem dyskusja na temat tzw. linii repertuarowej staje się bezprzedmiotowa, skoro linia takiej nie znajdujemy właściwie w żadnym z naszych współczesnych teatrów. (Może tylko w teatrze Schillera?).

Pozostaje tedy próba odpowiedzi na pytanie, czy dotychczasowy repertuar był wynikiem zjawisk tkwiących w samym Teatrze czy też przyczyny jego tkwiły poza Teatrem. Częściową odpowiedź na to pytanie daje świadomie, a może podświadomie, Ładosiówna, jeden z motorów naszego życia teatralnego, pisząc:

„Karnawał — pomyślał Różycki i postanowił: Trzeba prowadzić „Dom otwarty”! — Niechaj wszyscy się wesela, a przede wszystkim młodzież...”

W tym stanowisku wobec „Domu otwartego” Bałuckiego tkwi pierwszy punkt prowokującej dyskusję. W wymienionej bowiem komedii Bałuckiego jest, niewątpliwie, pewna vis comica, choć wcale niewybredna, posiada komedia i pewne walory artystyczne w sensie artysty zui generis, jeśli zgodzimy się z Sarcey'em, że talentu potrzeba, aby napisać sztukę żywą, — ale młodzieży „przede wszystkim” wybitnej przysługi wychowawczej „Dom otwarty”, jako widowisko oddać nie może, przeciwnie: może jej przynieść pewną szkodę moralną.

Zgodzić się natomiast można ze stanowiskiem Ładosiówny, która tak formułuje dotychczasowy dorobek i najbliższe zamiary Teatru Miejskiego: „I tak oto w sposób nieco frywolny, mamy repertuar teatralny, mniej więcej do jakiegoś kwietnia”, a więc: do wiosny. (Skojarzyła mi się niefortunna powieść pt.: „Byle do wiosny”). A co dalej? Sezon skończy się w sierpniu, do którego od kwietnia — pełne trzy miesiące. Czyż by przygodność w polityce repertuarowej przejawiała się i w kwartalnym jej planowaniu?

Czuje te obiekty Ładosiówna, skoro szuka powodów, dla których „zarzuca się teatrowi braki czy niedociągnięcia repertuaru, zwłaszcza współczesnego”. I znowu zgodzić się trzeba z uwagami autorki „Felietonu”, że „współczesna nasza literatura dramatyczna materiału pojętego w

sposób najrozleglejszy, dającego się rozwijać scenicznie zajmująco — nie daje”. Istotnie, trudno jest wskazać taką sztukę współczesną, która zadowoliliby pod każdym względem. Nie jest tedy rzeczą przypadku, że tacy znawcy teatru jak Szyfman czy Szyller sięgają do rzeczy najdawniejszych. Ten do Słowackiego, tamten do Wojciecha Bogusławskiego. „Papugi” i Wielkanocę” nie zadowolają.

Do tych „starych, niezawodnych źródeł” tęskni — jak wyznaje Ładosiówna — i Teatr lubelski. Marzy mu się — Szekspir. Ten wielki Szekspir, do którego wzdycha każdy aktor, bez względu na skalę swego przygotowania i możliwości. W płomiennych słowach o tęsknocie zespołu Teatru Miejskiego za Szekspirem tkwi podstawa do rozgrzeszenia naszego Teatru dla tych, którzy wymagają od niego czegoś więcej, aniżeli „Ostrożnie, świeżo malowane” czy nawet znakomity spektakl „Przyjaciel nadejdzie wieczorem”, — skoro „Pan Jowialski” był a „Adwokat i róża” będzie wynikiem sięgnięcia do starych, niezawodnych źródeł. Wyrazić należy przy tym głęboką nadzieję, że, jak „Pan Jowialski” nie był, tak i jubileuszowe widowisko „Adwokata i róża” nie będzie wynikiem „w sposób nieco frywolny” skomponowanego repertuaru.

Nie będzie tak tym bardziej, że cały zespół Teatru z samą Ładosiówną, jako jedną z jego postaci czołowych, swój stosunek do zadań teatru określa w sposób poważny, wykazujący — poza rzetelnym przygotowaniem do zawodu — głęboki kult dla teatru i pełne zrozumienie jego istotnych zadań. Piętny się przed naszym zespołem taki ogrom trudności, wszelkiego rodzaju, że najbardziej zjadliwego i najbardziej wymagającego krytyka zdumienie często ogarnia, kiedy widzi, jak oni te trudności pokonują i mimo nie utrzymują się na poziomie jednego z najlepszych teatrów w Polsce, jeśli nie pod względem repertuaru, to w każdym razie pod względem artystycznego wykonania utworów, które — z takich czy innych powodów, od nich samych często niezależnych — biorą na swój artystyczny warsztat.

Uwagi na temat poczyniań Teatru Miejskiego nie byłyby pełnym oświeceniem życia teatralnego w naszym mieście, gdybyśmy pominieli lubelską Szkołę Dramatyczną. Rozumiała to pisząc swój „Felieton teatralny” Ładosiówna, choć jej jako dyrektorce tej szkoły pisać o tym nie było zbyt zżecznie.

Nawiązując do uwag Ładosiówny stwierdzić należy wstępnie, że autorka uwag uszregła się płytkiego samochwalstwa i poczynania własnej szkoły potraktowała — przy wielkim do niej sentymencie — *Sine ira et studio*. Dobrych aktorów wychowa szkoła, której dyrektorka sama wyznaje i w uczniach swoich wpaja zasadę, że „być aktorem — aktorem „prawdziwym” — nie znaczy tylko: mieć talent czy zdolności, duszę czy serce, ale to znaczy: mieć oczy, ręce, stopy — pracowite, spragnione, świadome — zdolne czuć, widzieć, czerpać, przetwarzać.”

Jeśli się tak podchodzi do przyszłego pokolenia, wolno mieć nadzieję, że wychowa się aktorów „prawdziwych”, dla których szczyty sztuki aktorskiej, dla których artyzm nie będzie rzeczą nieosiągalną. Wychodząc ze słusznych założeń ideowo-wychowawczych, z pełnym pragnieniem pozwala Szkoła Dramatyczna uczniom swoim kształcić się i wychowywać na szczytowej twórczości dramatycznej wielkich twórców, rodzimych i obcych.

Rezultaty takiego kierunku szkoły mieliśmy sposobność oglądać. Nie były one jeszcze pełne, świadczyły jednak, że ogółem biorąc lubelska Szkoła Dramatyczna znajduje się na właściwej drodze. Jeżeli z obranej drogi nie zejdzie a w czasie jej odhywania nie odrzuci pewnych rad, choćby przykrych ale najżywczej udzielanych, osiągnie owoce pełne, wspólne z kwalifikacjami jej nauczycieli i zdolnościami jej uczniów.

Stanisław K. Papierkowski



Fredro „Pan Jowialski”, scena zbiorowa z aktu II-ego otwarcie sezonu 1946/47 w Teatrze Miejskim w Lublinie

Książki o Śląsku

— **Dr Marian Tyrowicz** „Polski Kongres Polityczny we Wrocławiu 1848 r.“, Kraków 1946, str. 110.

Ta cenna ściśle naukowa praca znanego badacza przeszłości dra Mariana Tyrowicza nabiera w naszych czasach cech aktualności. Autor wyzyskał 12 rękopisów Biblioteki X. X. Czartoryskich w Krakowie. Wykaz źródeł i literatury drukowanej liczy, poza pięcioma tomami Polskiego Słownika Biograficznego, 21 poz.

Zjazd polityków polskich we Wrocławiu w pierwszych połowie maja 1848 roku miał doprowadzić do uformowania rządu polskiego, którego zasięg objąłby ziemie trzech zaborów. Pomimo doniosłości obrad tego kongresu dla sprawy polskiej, nie zwrócono nań w świecie naukowym baczniejszej uwagi. Piszę autor we wstępie: „Atoli kongres polski we Wrocławiu pozostał sprawą drugorzędą, fragmentem należycie nienasświetlonym, często zgola pominiętym nawet tam, gdzie byśmy właśnie spodziewali się dowiedzieć o nim bliższej prawdy (szczególnie w monografii Józefa Feldmana: „Sprawa polska w roku 1848“). Można śmiało powiedzieć, że ten arcyciekawy kompleks faktów i spotkań poglądów — nie zdobył sobie w historiografii naszej nie tylko pozycji odrębnego rozdziału, ale nawet podrozdziału. Traktowano go epizodycznie i marginalnie, co — rzecz jasna — zrodziło szpeczną ocenę, rozbieżne zdania co do genezy i autorstwa poszczególnych koncepcji, wreszcie bardzo różne co do bogactwa szczegółów obrazy jego przebiegu.“ (str. 9—10).

Omawia autor genezę zjazdu, precyzując rolę i znaczenie w pracach przygotowawczych: — gen. Henryka Dembińskiego, Antoniego Zygmunta Helca, Aleksandra hr. Wielopolskiego, ks. Adama Czartoryskiego. Na losach kongresu wrocławskiego, obradującego w maju 1848 r., zaciążył konflikt pomiędzy krajem a emigracją. Do rozbitcia zjazdu przyczyniły się starcia obozów, konserwatystów i demokratów.

Na Kongresie brakowało tylko przedstawicieli tej ziemi śląskiej, na której zjazd się odbywał. W miesiąc po Kongresie w przedłożonym przez Stelmacha memoriale zaznaczono, że przez „spojenie losów Śląska z losami Polski spodziewają się Ślązacy wszystkich konstytucyjnych swobód jako to: wolności wiary, swobodnej prasy, równości w obliczu prawa tak użytego, jak przyrodzonego, więc zniesienia pańszczyzny...“ Autor czyni słuszną uwagę: „Szczegół godny zaznaczenia i wykania, jak myśl regionalnej śląskiej polityki zabiegała się z tendencjami demokracji ówczesnej i jak słabo interesowała się tym problemem kierująca elita pol-

ska, zachowawcza i postępową.“ (str. 68). Kongres Wrocławski celu obrad, uformowania rządu polskiego, nie zrealizował. Nie był jednak bezowocnym. W walce dwóch obozów blok konserwatywny poniósł klęskę. Przystąpił atoli do pracy organizacyjnej. Demokracja emigracyjna przeniosła racisk z wyhodźstwa do kraju. Ciekawą rozprawę kończy autor zdaniem: „Nieukończona lekcja wrocławska nie poszła na marne.“

— **Dr Bronisław Kocowski** „Drukarstwo polskie na Dolnym Śląsku“. Wrocław. Sierpień 1946 r., str. 23.

Zarys ten obejmuje przegląd drukarni i drukarzy we Wrocławiu (od 1475 roku), Oleśnicy, Legnicy (od pierwszych datowań do XV wieku), Głogowie (od 1603 r.), Buzegu (od 1611 r.), Zgorzelcu (od drugiej połowy XVI w.). Przewijają się przed czytelnikiem nazwiska drukarzy: Kaspera Elyana (1475—1483), Konrada Baumgartna (1503—1506), Adama Dyona (od 1518 do lat trzydziestych wieku XVI), Kaspera Lybsza (1520—1540), Andrzeja Winklera (od 1538 r.), Kryspina Scharffenberga i jego syna Jana, a od r. 1589 wdowy po tym synie, Jerzego i syna jego również Jerzego Baumanna, Karola Wilhelma Grassa (od 1748 r.), Jana Augusta Bartha (od 1799 r.) i wielu innych we Wrocławiu. W Oleśnicy działali drukarze: Kasper Richter, Jan Bösermessa (1605—1639), Jan Zayffert (1642—1669), Gottfryd Welcher (1734) i inni; w Legnicy: Simprecht Sorg, Mikołaj Sartorius i in.; w Głogowie: Joachim Funck, Wigand Funck, Erazm Rosner i in.

Losy drukarni i druków dolnośląskich wiążą się z przebiegiem ruchu różnowierczego na tych ziemiach.

Z druków śląskich na szczególniejszą uwagę zasługują: z druków wrocławskich: „Statuta synodalia episcoporum vratislaviensium“ (1475) z przytoczonymi w tekście modlitwami w jęz. polskim „Ojcie nasz“, „Zdrowaś Maria“ i „Wierzę w Boga“, „Biblia Jakuba Wujka“ (1740—1771 rok), Jan Amos Komeński „Świat malowany...“, Andrzej Maksymilian Fredro „Przysłowia mów potocznych“, Jerzy Samuel Bandtkie „Wyobrażenia krótkie dziejów Królestwa Polskiego“; z druków innych miast: w Oleśnicy: Jerzy Bock, archidiacon oleśnicki, „Nauka domowa na pamiętkę wesela utrośowego a pracowitego Adama Hilbriga, Pana Szwagra mego“ (1670), Adam Idacjusz „Dyskurs o dobrych uczynkach“ (1687).

Wniosek końcowy autora brzmi: „„Polska“ Dolnego Śląska są niezbitym dowodem jego polskości.“

Aleksander Kossowski.

Francuskie wydawnictwa Książnicy „ATLAS“

Koniec roku 1946 przyniósł romanistom kilka starannie wydanych pozycji wydawniczych Książnicy „ATLAS“, którym warto kolejno poświęcić kilka słów oceny.

„Le Roman de Tristan et Isut“ w opracowaniu J. Bédier, znakomitego znawcy starofrancuskiej literatury wprowadza młodych czytelników w samocelny świat baśni i legend, opowiadanych średniowiecznym słuchaczom przez bretońskich harfarzy, lub przez francuskich „truverów“. Pierwotny poemat o Tristanie i Izoldzie zachował się jedynie w kilku krótkich urywkach, a następnie rozpowszechniony po całej Francji w formie powieściowej — należy do słynnego „cyklu bretońskiego“ wespół z „Perceval“ i „Opowieściami o Królu Arturze i dwunastu rycerzach Okrągłego Stołu“. Te dwa ostatnie utwory oparte są na motywach chrześcijańskich. „Powieść o Tristanie i Izoldzie“ wprowadza nas w przedchrześcijański świat bujnej wyobraźni Celtów, wspólny dla Bretończyków, Irlandczyków i Szkotów, w którym wielką rolę odgrywa pierwiastek cudowności, czarodziejstwa i magii. Spotkamy tam bohaterów, obdarzonych nadludzka mocą, zwierzęta, obdarzone ludzkim rozumem, cudowne źródła i czarownice, wazące w tajemniczych grotach napój wiecznej miłości, „lubczyk“, skazujący tych, którzy go spróbowali na miłość aż do grobu, a nawet i poza grób. Pleśń o Tristanie i Izoldzie stanowi nie tylko piękny zabitek średniowiecznej literatury bretońskiej, jest ona jednocześnie odległym, lecz

żywym echem wierszy i zapomnianej kultury starożytności.

„Le mariage de Figaro“ — komedia mieszczańska Beaumarchais'go, wystawiona po wielu trudnościach poraz pierwszy 28 kwietnia 1784 r. wprowadza nas w końcowy okres „ancien regime“, który przez błędy niedoświadczonych rządów Ludwika XVI i jego poprzednika, przez egoizm arystokracji francuskiej — chylił się nieuchronnie do katastrofy wielkiej rewolucji. „Małżeństwo Figara“ nie jest pierwszym krokiem Beaumarchais'go w dziedzinie teatru — stanowi ona właściwie dalszy ciąg pierwszej komedii autora — „Cyrulka Sewilskiego“, wydanej w r. 1772. Beaumarchais nie był zawodowym literatem, traktował on swe pisarskie wyczyny jako „cny wypoczynek“ w swym burzliwym życiu. Czemu zawdzięczać należy niezwykłe powodzenie tej komedii, przerobionej następnie przez Mozarta na operę pt. „Nozze di Figaro“ (libretto Włocha da Ponte)?

Niewątpliwie o sukcesie tej komedii decyduje tu świetny humor autora, czym odcina się ona od twórczości innych autorów XVIII w.

W wieku tym bowiem utwory literackie noszą przeważnie piętno powagi rozważań społeczno-politycznych, a za objawy zdrowego humoru trudno uważać chyba zgryźliwe satyry Voltaire'a.

Zasadniczym więc celem Beaumarchais'go było przywrócenie literaturze francuskiej szczerzej, nieskrępowanej wesołości

i właściwego Francuzom humoru, przygaszonego ciężarem gatunkowym poważnej sytuacji politycznej i narastających konfliktów społecznych.

Żyje ich odzwierciedlenie znajdujemy w „Małżeństwie Figara“, symbol dochodzącego do głosu „stanu trzeciego“, którego symbol m jest tytułowy bohater komedii. Trumf Figara nad hrabią Almawiwą — to zapowiedź zwycięstwa ludu nad arystokracją, to zachęta do rewolucji, która musi się udać. Arystokraci, oklaskujący w Komedii Francuskiej sztuki Beaumarchais'go nie zdawali sobie sprawy, iż oklaskują własny pogrzeb. Natomiast przedstawiciele stanu trzeciego, obecni na przedstawieniu, zdawali sobie sprawę z własnej sily. Byli oni pewni, że dożyją chwili upadku „ancien regime“ i dojdą do władzy ludu. — Historyczna jakoby kontynuacja utworów Beaumarchais'go jest drama Romain Rollanda pt. „Le Jeu de l'Amour et de la Mort“, który wprowadza nas w czas wielkiej rewolucji i w tragiczny okres „terroru“.

Akcja dramatu rozgrywa się właśnie w tym najkrwawszym momencie terroru w chwili dojścia do dyktatorskiej władzy Komitetu Ocalenia Publicznego i bezwzględnej walki klubów politycznych, w której, po kolejnym trumfie i upadku „Zwrotno-dystów“ i Góral do władzy dochodzą Jakobini i utrzymują ją od r. 1792—94 dzięki swym czelwim przedstawicielom: Dantonowi i Maratowi.

— Książeczka Karola Vildraea pt. „Dé-couvres“ — „Odkrycia“ w opracowaniu Anny Garnyszowej wprowadza czytelnika w życie „szarego człowieka“. Jako poeta i ceniony dramaturg potrafił Vildrac z artyzmem odmalować troski i radości ludzi ciężkiej pracy, którzy z pogodnym uśmiechem i humorem wychodzą na spotkanie nie zawsze wesołego i lekkiego życia. Na czym polegają „odkrycia“ Karola Vildraea? Przedewszystkim na przetrwaniu szarej rzeczywistości przez przetrwanie uczucia i poczucia. Kocha on tych swoich „maluczkich“ bohaterów dnia codziennego, o wybudzonym, spocynym ubraniu i czarnych, spracowanych rękach, współczuje ich

trudom, a w każdym z nich odkrywa wielkie skarby ducha: szlachetność, uczynność i chęć przyjsia z pomocą bliźniemu. „Odkrycia“ Vildraea odkrywają przed naszymi oczyma nieznaną nam Paryż świata pracy w jego najszlachetniejszych przejawach.

— Pierwszym po wojnie podręcznikiem języka francuskiego dla celów handlowych i kursów dla dorosłych jest wydana przez Książnicę „Atlas“, a zatwierdzona przez Ministerstwo Oświaty piśmie z dnia 18. XII 1945 r. książka prof. T. Jungmana pt. „Il faut apprendre le français“. Jest to książka na prawdę nowoczesna i wartościowa zarówno ze względu na jej układ, jak i dobór tekstów i czytanek. Całość podręcznika skonstruowana jest w ten sposób, że wymaga od sam-go początku nauki, czynnej postawy zarówno nauczyciela, jak i ucznia. Autor w oparciu o metodę bezpośrednią i konwersacyjną wprowadza ucznia od razu w czysto francuskie zwroty i w język potoczny. Już w pierwszych 10-ciu lekcjach uczeń znajdzie planowo zebrany materiał leksykalny, dający dobrą podstawę do rozmów k i dialogów, potrzebnych w codziennym życiu. Poniżej treści właściwej lekcji prof. Jungman podaje zestawienie elementów gramatycznych, a dalej pytania i ćwiczenia językowe.

Wartość książki podnoszą ilustracje i fotografie umiejętnie dobrane, fotomontaże oraz reprodukcje charakterystycznych obiektów i reklam francuskich. Szególnie bogato ilustrowany jest dział handlowy i turystyczny. Po właściwej treści książki następuje nader przetrzyskie ubożona gramatyka z objaśnieniami polskimi, a ostatnią częścią nowego podręcznika jest słowniczek francusko-polski.

„Il faut apprendre le français“ stanowi w dziedzinie wydawniczej podręczników francuskich pozycję poważną, pożyteczną i piękną, niewątpliwie w najbliższym czasie ukaza się dalsze części tej książki na co z nieterminowością czekać będą zarówno nauczyciele języka francuskiego, jak i uczniowie.

Aleksander Serafin

Piewca bohaterских lotów

Znany już przed wojną z wędrowek swych po Brazylii, Kanadzie, Madagaskarze i Afryce południowej, Arkady Fiedler, przeobraził się w czasie ostatniej wojny w pierwszorzędnego „reportera“ wyczołw polskich, brytyjskich i czeskich myślicieli strzegących dostępu do stoicy Wielkiej Brytanii szarańczy niemieckich bombowców. Ostatnia jego książka, znana zresztą dobrze z miniaturowego, fotograficznego wydania i setek maszynowych odpisów Polski podziemnej już w czasach okupacji, stanowi w dziedzinie wojennej nową polską jedną z najpiękniejszych pozycji.

Wśród wielu walorów tego oryginalnego pod każdym względem „reportażu z powietrza“ podkreślić należy przede wszystkim trzy zasadnicze jego wartości, trzy po ważne osiągnięcia autora, które poczytane mu będą w najnowszej literaturze polskiej jako trwałe pióra polskiego zdobywcy

Pierwsze i najbardziej emocjonujące — to siła zobrazowania nawiętrznego świata lotnictwa, jego niepojętych dla chodzącego po ziemi człowieka nadoblotcznych wlotów, oszalałających wysięgów, bohaterских walk z jakimi nie masz porównania w dziejach batalistyki świata od starożytności i średniowiecza po najnowsze wymysły techniki wojennej na lądzie i morzu. Arkady Fiedler umiał się tak wżyć w ten trzeci żywioł terenu wojennego, jakim jest powietrze, że w opisach jego przeżywamy do najsubtelniejszych drgnięć myśli, uczucia i nerwów, tę nieprzebraną gamę duchowych napięć, jakich nie potrafią określić żadnym językiem i najprzedniejsi mistrze lotnictwa. Przyżywają oni je gdzieś wysoko, pod słońcem, w chmurach i ponad nimi, w bojowym szale zmagania się z wrogiem, w błyskawicznych pościgach jaskółczego lotu, w tragicznym ratowaniu się na spadochronach. Tegich opisywaczy powietrznego życia lotników mamy już sporo w literaturze świata, nie wyluczając i naszej (Meissner np.), żaden z nich jednak nie może się pochwalić taką głębią i wszechstronną wnikliwością w ten nowy świat człowieka, wraz z jego przyrodą i techniką, mechaniką i strategią, psychologią i filozofią.

Skonstatowanie tego faktu w osiągnięciach Fiedlera wprowadza nas równocześnie

1) Arkady Fiedler — Dywizjon 303“. Wyd. Spółdzielni „Czytelnik“. Druk. Narodowa w Krakowie, maj 1946, str. 152 z oryg. ilustr.

nie i do drugiej wielkiej wartości jego dzieła — osiągnięcia czysto literacko-artystycznego, — pod względem języka i stylu, sily wypowiedzenia się, obrazowania, poczucia i oddziaływania na czytelnika. I tu pokazał autor „Dywizjonu 303“ ostrze wielkiego pazura, jako pisarz i poeta. Na jakiegokolwiek stronie otworzyć jego książkę, wszędzie roi się od tak uderzających swym pięknem obrazów, od tak poryjających w swym żywiołowym ruchu scen, od tak silnych, a prostych w swym wyrazie opisów, od tak głęboko odczutyh wzruszeń, że z całą rozkoszą wracamy do nich i odczuujemy je po kilka razy. W mistrzowski też sposób łączy Fiedler w tym swoim „reportażu“ materialną stronę przedmiotu z jego zakulisową potęgą ducha, z jego poezją i malarstwem, z jego swoistym mistycznym i religijnym.

I trzecie wreszcie osiągnięcie — to to, które autor przypisuje samym lotnikom polskim — wielkie osiągnięcie propagandowe wobec Polski i zagranicy. Nam stawia on przed oczy niemiertelność polskiego junactwa i polskiego patriotyzmu, mimo całej naszej degeneraty wojennej 1939 r., mimo zmiażdżenia Polski potwornie skonstruowanym czołgiem okupacji niemieckiej, mimo tak powszechnego obniżenia poziomu kultury, etyki i moralności w naszym społeczeństwie. — Obcyń otworzył oczy na rolę Polski w zbiorowym dziele wyzwolenia Europy od hitlerizmu — na pełną ofiarność i poświęcenia walkę ekip polskich myśliwców, co prześcignęła w bohaterstwie swych sojuszników, — na decydujący udział naszej powietrznej młodzieży w słynnej „battli of Britain 1940“, co rozstrzygnęła o losach wojny. I w tym bodaj leży największa zasługa Fiedlera. Jest ona niejako pisanym po literacku protokołem rehabilitacji armii polskiej po klęsce 1939 r.

Polski myśliwiec istotnie — jak zresztą i piechur pod Monte Cassino, czy na piachach Afryki — był wówczas „natchnieniem świata“ i Fiedler miał szczęście ująć to natchnienie w najwytworniejszą formę literacko-artystyczną, bez cienia megalomanii czy samochwaństwa. Ból, wstyd i hańba — nie dla nas, ale dla tych, co ordery wieszali na poszarpanych piersiach polskich lotników, — że dzisiaj to „natchnienie“ tak spowszedniało, iż mogło się zmienić w pojęcie niektórych czynników wielkiego Zachodu w koniunkturalne współczucie dla „nieszczęśliwych Niemców“, w ubliżające cieniem tysięcy bohaterów kompromisy z upodlonym germaństwem.

Władysław Dobromiński

W zacczarowanym kręgu słowa o czystego „Od Cyda do żołnierza polskiego” w Teatrze Miejskim

Poranek recytatorski p. Surzyńskiego wykazał najwyższy poziom artystyczny tego rodzaju widowiska we współczesnym życiu kulturalnym polskim. Nie jest to typowa recytacja kameralna, operująca wyłącznie kunsztem słowa, popartym przez gest i mimikę. Jest to gatunek mieszany, coś pośredniego między czystym widowiskiem teatralnym a czystą recytacją kameralną z akompaniamentem muzycznym. Zestrojenie wszystkich elementów: słowa, gestu, melodii, oprawy kostiumowej było niezwykle szczęśliwe, pełne umiaru i dystynkcji, świadczące o wysokiej kulturze literackiej, estetycznej i teatralnej odtwórcy

Cały poranek pod względem doboru literackiego utworów sprawił głęboką radość umysłową i estetyczną zebranej publiczności, dumnie sięgnął po szczyty literatury, zaś układ i kolejność wykazały znajomość psychologii publiczności oraz subtelność troskę, aby utwory o najwyższym napięciu duchowym i artystycznym nie spotkały się już ze znużeniem słuchaczy. Dlatego cykl romantyczny został salę jeszcze zupełnie świeżo i godnie nastroszoną przez dwie wstępne recytacje z „Cyda” Corneille'a, do przyjęcia tej perły poranku.

I tu się okazało, jak szczerze i w pełni pomysł zestrojenia różnych elementów sztuki dla oddania tej treści wewnętrznej, którą przepojony jest romantyzm. Zosamażowana niestety w tysiącnych wystąpieniach poza romantyczna ukazała się nam tutaj w pełni czystego, szlachetnego wyrazu, poparta melancholijnym strojem, efektywnym (lecz pełnym umiaru i dystynkcji) gestem. Niezwykła estetyka i trafność pierwszej, wejściowej pozy scenicznej, czy to w recytacji „Smutno mi, Boże”, czy w „Pożegnaniu” Krasieńskiego, czy wreszcie w najbardziej wstrząsającej postaci w „Improwizacji” od razu torowała drogę słowu romantycznemu do duszy słuchacza. Cała potęga ideologii romantycznej w nieśmiertelnej postaci najpiękniejszego słowa polskiego dzięki genialnej wypowiedzi odtwórcy oraz ekspresji wszystkich elementów teatru, niezwykle inteligentnie zastosowanych przez reżysera, przemówiła do publiczności z najwyższą siłą i znalazła pełny oddźwięk, świadcząc raz jeszcze w sposób plastyczny i wstrząsający, że romantyzm sprawuje i dzisiaj rząd dusz i że jest najwspanialszą i najważniejszą w dziejach naszej kultury wypowiedzią polskość. Zarzuchami w słowa wieszczą Adama powtarzaliśmy za nim, jak pacierz:

„Ja kocham cały naród...”

Norwidowski „Fortepian Szopena” i „Improwizacja” wieszczą Adama to szczyty kunsztu i ekspresji recytatorskiej. Doczekał się wreszcie Norwid takiej recytacji, która mu otworzyła duszę słuchacza, za którą tak tęsknił całe życie, otworzyła mu dzięki intuicji odtwórcy, który pierwszoplanowo podał to, co nas łączyć może z Norwidem, a pewną dziwaczność jego stylu usunął w cień. Immanentnym i symbolizmem Norwida, odpryskujący nieraz silnym realizmem jest przytłum dla naszego pokolenia bardziej dostępny po trudnych dla czytelnika i słuchacza doświadczeniach, pełnej niespodzianek i kaprysów poezji współczesnej. Wypowiedź „Improwizacji” była głęboko przemyślana i opracowana w najdrobniejszym geście ze szczególnym pietyzmem. Poczynając od wstrząsającej pozy wejściowej czuło się w „Improwizacji” dostojność rozmowy z Bogiem, stopniowo potęgający się bunt, bezmiar miłości do narodu; przeważał nieco ton błagalny.

Cały ten cykl w głęboko przemyślanym stylu artystycznym, w rozlewności uczuciowej, w umiarkowanie podkreślonym sentymencie, w potęgę ideologicznego wyrazu stał się najwyższym osiągnięciem p. Surzyńskiego, jako recytatora. Zakończenie zaś tego cyklu fragmentem z Wypisów, to

akord, który wstrząsnął publicznością. Za chwilę znowu — cóż za skala możliwości odtwórczych, co za ekspresja — oczaruje nas i podbije wdziękiem i barwnością tańców staropolskich i ludowych (kujawiak!), jakże wspaniała jest wyrazistość tanecznej ochęty pocziwej stodoły. Że siła wyrazu artystycznego nie zależy od stroju, od wszelkich środków zewnętrznych, lecz że tkwi w osobowości artysty, świadczy subtelność i umiar recytacji wiersza Kasprowicza oraz najwyższa czułość i rzetelność wypowiedzi poetyckiej o Oświęcimiu; obydwa recytacje już bez żadnej oprawy zewnętrznej. Wśród nadmiaru popolitości, obniżających dostojność dramatu narodowego, ta recytacja o Oświęcimiu jest nie tylko wyrazem wielkiego kunsztu artystycznego, ale czynem obywatelskim wysokiej miary przez to, że ekspresją słowa każąc słuchaczowi sięgnąć do samego dna bólu narodowego oczyszcza go wewnętrznie powtórnym, już artystycznym, przeżyciem cierpienia.

Całokształt widowiska wykazuje bardzo wysoką klasę aktorską p. Surzyńskiego. Szlachetna postawa sceniczna, monumentalność wypowiedzi, kultura słowa i gestu (wspaniała ekspresja rąk, umiętność posługiwania się kostiumem, jako elementem konstrukcyjnym w grze aktorskiej) predysponuje go do wielkiego repertuaru klasycznego. O wrażeniu zaś publiczności mogą powiedzieć słowami Norwida właśnie z „Fortepianu Szopena”:

I była w tem Polska, od zenitu

Wszędoskonałości dziejów

Wzięta tęcza zachwytu,

Polska przemienionych kołodziejów,

Taż sama zgoła,

Złotopyszczola...

(Poznałczyłbym ją na krańcach bytu!...)

Janina Pliżczyńska

K R O N I K A L I T E R A C K A

Życie literackie Lublina

Od dwu lat już działający w Lublinie Klub Literacki organizuje nadal, wspólnie z Oddziałem Związku Zawoowego Literatów Polskich środowe wieczory. Wzbudzają one duże zainteresowanie tak ze względu na prelegentów, jak i aktualność poruszanych zagadnień.

Zywołność Klubu sprawiła, że na imprezy jego tak licznie uczęszcza publiczność lubelska, wśród której znaczną część stanowi młodzież szkolna i akademicka.

Festiwalowe zbiorowe wieczory literackie cieszyły się tak dużą frekwencją, że powtórzone je wkrótce.

Na poranku autorskim 23 października usłyszeliśmy Jacka Bocheńskiego, Eugeniusza Gołębiowskiego, Wacława Gralewskiego, Annę Kamińską, prof. dr. Stefana Kawyna, prof. dr. Juliusza Kleimera, Józefa Kłosowskiego, Antoniego Maślńskiego, Jana Nagrabieckiego, Helenę Plattę i Jerzego Pleśniarowicza. W Wieczorze Autorskim zaś 27 listopada wzięli udział: Feliks Araszkiewicz, Maria Bechzyco-Rudnicka, Konrad Bielski, Włodzimierz Chęmiński, prof. dr. Juliusz Kleimer, Zygmunt Milkulski, Stanisław Papierkowski i Stefan Wolski.

Czytane były także utwory nieobecnych pisarzy: Czesława Janozarskiego, Kazimierza A. Jaworskiego, Jana Parandowskiego i Zbigniewa Piotrowskiego.

W tymże czasie zorganizował Klub dwa Poranki dyskusyjne na tematy teatralne. Pierwszy z nich, zagajony przez Eleonorę Frenkiel-Ossowską, Irenę Ładosiównę, Gustawę Błońską i dra Stanisława Papierkowskiego, poświęcony był festiwalowemu występowi lubelskiej Szkoły Dramatycznej, na który złożyły się fragmenty z „Marii

Pierwsze półrocze sezonu koncertowego 1946/47 zaznaczyło się w Lublinie znaczną przewagą muzyki symfonicznej. Odkryło się w tym okresie jedenaście koncertów symfonicznych, co wobec jednego recitalu fortepianowego i kilku występów chórów stanowi liczbę pokąźną.

Festiwal Sztuki przyniósł nam ważny w dziejach miasta fakt otwarcia Miejskiej Filharmonii i dwa uroczyste koncerty. Na pierwszym usłyszeliśmy koncert f-moll Chopina w wykonaniu Stanisława Szpinalskiego z towarzyszeniem orkiestry, oraz Polonezy Ogińskiego, Symfonię Perłowskiego, a przede wszystkim bogatą w regionalne motywy ludowe Suitę Lubelską Tadeusza Szeligowskiego. Utwór ten, entuzjastycznie przyjęty przez publiczność, powtórzony został wkrótce na poranku. Orkiestrą dyrygował Zygmunt Szczepański.

Na drugim koncercie wystąpiła Filharmonia również z muzyką polską. Solistą był Stefan Rachoń, który wykonał koncert skrzypcowy d-moll Wieniawskiego. Uwertura „Jan Kochanowski” Kurpińskiego i poemat „Step” Noskowskiego dopełniły program. Niedzielny poranek pofestiwalowy był częściowym powtórzeniem wspomnianych koncertów z dodaniem pieśni lubelskich Kolaśńskiego, wykonanych przez Zofię Massalską.

Dwa następne koncerty Filharmonii wskazują wyraźnie na kierunek pracy orkiestry: na afisz wchodzi klasycy Beethovena i Mozarta. Trzecia (Eroica) i siódma symfonia rozpoczynają szereg wykonań arcydzieł beethovenowskich, kontynuowany już stale. Poza symfoniami na program złożyły się uwertury: do opery „Wesele Figara” Mozarta, „Leonora Nr. 3” Beethovena oraz Serenada Mozarta. Występ Krystyny Szczepańskiej, pierwszy po powrocie śpiewaczki z zagranicy, przyniósł arię z „Orfeusza” Klucka i znaną nam z ubiegłego sezonu arię „Ah, perfido” Beethovena.

Orkiestrą dyrygował na wszystkich omawianych koncertach Zygmunt Szczepański. Na dwóch koncertach popularnych natomiast, o jednakowym programie, poznaliśmy nowego dyrygenta Filharmonii Adama Wyleżyńskiego. Złożyła się na nie muzyka Mendelssohna do „Snu nocy letniej”, uvertura do Moniuszkowskiej „Hrabiny”, suita „Arleżjanka” Bizeta, melodia elegijna Griega. Dwie pieśni Griega odśpiewała młoda solistka Maria Sowińska.

Z radością powitała publiczność koncertowa przyjazd Wandy Łosakiewicz, „młodszej” pianistki, chociaż przebywającej od dłuższego już czasu w Warszawie, która odegrała znany Lublinowi z zeszłego sezonu koncert es-dur Liszta. Orkiestra pod dyr. Z. Szczepańskiego wykonała uverturę do opery „Euryanthe” Webera i poemat „Preludia” Liszta.

Bardzo atrakcyjne, ze względu na repertuar i solistów były dwa następne piątkowe koncerty Filharmonii. Na pierwszym wystąpiła skrzypaczka — kompozytor Grażyna Bacewiczówna z Symfonią hiszpańską, Laio'a. Istakowskiego uverturą do opery „Maria” i „Odwieczne pieśni” Karłowicza wypełniły wieczór. W programie następnego piątku powrócił Beethoven. Fortepianowy koncert z orkiestrą c-moll zagrał Zbigniew Drzewiecki, orkiestra wykonała ósmą symfonię i Concerto Grosso Händla. Na obu koncertach dyrekcja Zygmunta Szczepańskiego.

Schubertowi i Moniuszce poświęcony był ostatni poranek ubiegłego roku. Usłyszeliśmy symfonię h-moll (Niedokończona), uverturę do opery „Rosamunda” oraz arię w wykonaniu Marii Drewniakówny, uverturę i mazurę z „Halki”. Orkiestrą dyrygował Zygmunt Szczepański.

Na pierwszy koncert tego roku przypadł występ Kazimierza Serockiego, który wykonał koncert a-moll Schumannna na fortepian z orkiestrą. Orkiestra odegrała pod dyrekcją Zygmunta Szczepańskiego symfonię c-dur Schuberta uverturę Ruy Blas Mendelssohna.

Na program dwu popularnych poranków symfonicznych obrano: twórczość Griega. Orkiestrą dyrygował Adam Wyleżyński, koncert fortepianowy zagrała Tatiana Janiszewska-Wojtaszewska.

Poranek, który odbył się w ostatnią niedzielę, nawiązał do najchlubniejszych tradycji ubiegłego półrocza. Spełniając oczekiwania publiczności i idąc konsekwentnie po dotychczasowej linii rozwojowej, Filharmonia nasza podjęła cykl symfoni Beethovena, największych dzieł genialnego mistrza muzyki instrumentalnej. Usłyszeliśmy I symfonię, uverturę do „Wesela Figara” Mozarta, oraz kilka pieśni Pergolesego, Cacciniego, Vivaldiego i Mozarta w wykonaniu Zofii Massalskiej; dyrekcją Zygmunta Szczepańskiego.

Pożyteczną inowacją jest wprowadzenie przed koncertem objaśnień Stanisławy Szeligowskiej. Prócz wiadomości biograficznych, podane zostały, szczególnie ważne, objaśnienia dotyczące utworów wykonywanych, zwłaszcza symfoni.

W planach kierownictwa Filharmonii jest organizowanie koncertów symfonicznych dla robotników w miejscowych fabrykach. Realizacja tego zależy wyłącznie od woli i sprawności organizacyjnej Okr. Komisji Związków Zawodowych. Może uda się wreszcie uzyskać salę kina „Apollo” na stałą siedzibę, gdzie pomieściłoby się znacznie więcej publiczności. Swą ważną rolę widzi Filharmonia Miejska nie tylko w doskonaleniu swej sztuki, lecz również w przyciąganiu licznych rzesz i pozyskiwaniu ich dla muzyki.

T. D.

T. D.